



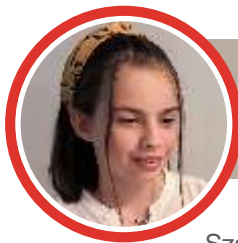


Osoby w grupie warsztatowej to pasjonaci fotografii i architektury, zatem celem spotkania było poszerzenie wiedzy oraz umiejętności z zakresu fotografii architektury, świadome korzystanie z urządzeń fotografujących (aparat, smartphone). Fotografowanie obiektów i budynków to pewne zasady, które uczestnicy łatwo przyswoili i znacząco poprawili jakość swoich zdjęć. Po warsztatach wyrazili chęć rozwijania swoich umiejętności również w innych obszarach dotyczących fotografowania tj. zdjęcia przyrody, ludzi. Warsztaty umocniły w dzieciach ich pasję co potwierdziło zaangażowanie z jakim wykonywały zadania. W grupie były osoby, które wiążą swoją przyszłość z fotografią więc warsztaty były okazją do zadania pytań odnośnie zawodu.

**Wioletta Pietrucha** - prowadząca warsztaty



*najciekawsze*  
**RECENZJE**  
*wybranych powieści  
historycznych*



### MATYLDA KĄCKA (13 lat)

Szkoła Podstawowa nr 340 w Warszawie  
Recenzja książki pt. "Auschwitz. Szachy ze śmiercią" Johna Donoghue.

wygrał, mógł tę osobę ocalić. Od wyniku partii zależało życie człowieka. Czy da się zrobić coś bardziej okrutnego? Oczywiście. Po-

Z książką "Auschwitz.

Szachy ze śmiercią" autor-

stwa Johna Donoghue, pierwszy raz zetknęłam się na forum szachowym. W czasie mojej krótkiej fascynacji ową grą, obejrzałam filmik z rozgrywką pochodzącą z tej powieści. Jego twórca pokrótce opowiedział również fabułę. Książka długo za mną chodziła, aż dopadła mnie na pchlim targu. Kiedy ją zobaczyłam, zrozumiałam, że muszę po nią sięgnąć. Choćby dla moich pradziadków. By zrozumieć przez co przeszli i z czym się mierzyli każdego dnia.

Gdy tylko wzięłam lekturę do ręki, mój wzrok przyciągnęła okładka.

Umieszczone na niej figury szachowe i spoczywające na nich symbole - swastyka i gwiazda Dawida - oraz przebijające się przez szachownice mury obozu, który stał się nowym domem Emila Clémenta. Jednak dopiero po przeczytaniu książki w pełni zrozumiałam, jak bardzo ten zabieg jest przemyślany. Za każdą decyzją bohatera, za każdą opinią i za każdym postępowaniem stały doświadczenia nabyte w Auschwitz, co się również przełożyło na jego sposób i podejście do gry. Finalnie to jednak nie wątek szachów jest najważniejszą figurą. Królem na tej jakże osobliwej szachownicy jest przebaczenie, a co za tym idzie - tolerancja i przyjaźń. Jak mocno można nienawidzić? Czy jest się w stanie przebaczyć wielkie krzywdy? Nawet jeśli w grę wchodzi wojna, a Niemcowi ma wybaczyć Żyd?

A wybaczyć w tym przypadku ma rzecz niewybaczalne. Gdy wykryto jego talent do gry w szachy, kazano mu grać. I musiał wygrywać. Inaczej wybrana przez gestapowca osoba była zabijana. Lecz jeśli

normalnie zmuszono go do gry. Tym razem o własne życie.

Gdy czytałam tę książkę, targały mną różne emocje. Czasem na mojej twarzy pojawiał się lekki uśmiech. Wzruszenie przeradzało się w szloch, aż w końcu płakałam jak bóbr, a same kartki wchłonięły dużą ilość łez. Kilka razy musiałam ją odłożyć, by przemyśleć niektóre wydarzenia, a jednocześnie rosła we mnie chęć wyrzucenia jej przez okno i odciążenia się od okropności wojny. Ponieważ to one cały czas nas otaczają i nie dają o sobie zapomnieć. Mimo że rozdziłały się ze sobą przepłatały i raz znajdowałam się w Auschwitz w latach trzydziestych dwudziestego wieku, a później lądowałam w powojennym Amsterdamie w roku 1962. Stale zmieniające się lata wręcz wołają nas o uwagę, dzięki czemu nie da się jej czytać biernie. Kolejną zaletą tej powieści jest wytłumaczenie niektórych zagadnień oraz czekająca na końcu lista stopni wojskowych po niemiecku (czyli tak, jak zapisał je autor) i przetłumaczenie na język polski.

Uważam, że jest to jedna z najważniejszych książek, jakie przeczytałam. Nie jest to łatwa lektura i zostawia pole do przemyśleń na długo po jej przeczytaniu. Jeszcze bardziej wyculiła mnie na tematy związane z wojną i w pełnej okazałości pokazała, jak tragiczne było to wydarzenie. Uważam, że gdyby wszyscy przeczytali ten tekst, ludzie byłiby bardziej wrażliwi i potrafiliby docenić to, w jakich czasach żyjemy.


**JOANNA BURZYK (13 lat)**

Szkoła Podstawowa nr 340 w Warszawie  
Recenzja książki pt. „Asiunia” Joanny Papuzińskiej  
Muzeum Powstania Warszawskiego.

małą dziewczynkę o imieniu Ela. W ciągu nocy lub dni, zdarzają się ostrzały i

”Asiunia” to książka autorstwa Joanny Papuzińskiej. Opowiada historię dziewczynki urodzonej podczas II wojny światowej. Już po przeczytaniu pierwszej strony, można dowiedzieć się, że autorka pisze o samej sobie.

Urodzona w 1939 roku Joanna Papuzińska napisała wiele książek i wierszy skierowanych do dzieci, np. „Nasza mama czarodziejka”, czy „Wędrowcy”.

Oprócz pisarstwa, Pani Papuzińska przez wiele lat zajmowała się również pracą naukową na Uniwersytecie Warszawskim. Jednakże dzieci bardziej kojarzą ją z ciekawymi i prostymi do zrozumienia powieściami. Ja z dzieciństwa pamiętam, gdy tata i mama czytali mi wierszyk ”Tygryski”, a moja siostra recytowała go z pamięci.

Ilustracje w książkach Joanny Papuzińskiej są znakomite i pomagają w zrozumieniu tekstu lub wyobrażeniu sobie sytuacji podczas czytania. Tak samo jest w przypadku ”Asiuni”. Szarawy kolor twardej okładki przypominał mi dym płonącej Warszawy. Już jej widok wprowadza czytelnika w klimat wojny. Na pierwszym planie umieszczono dziewczynkę o smutnych oczach, która kuli się ze strachu. W oddali widać wiejską chatkę na środku pola, a nad nią przelatujący samolot zrzucający bomby. Otwieram książkę i przede mną ukazuje się świat ilustracji Pana Marcieja Szymanowicza.

Książka Joanny Papuzińskiej to wzruszająca powieść o wojennej Warszawie, w oczach małej dziewczynki o imieniu Asia. Ojciec Joasi musi iść do wojska, bracia znikają, mamę wywożą niemieccy żołnierze, dziewczynka zaś zaczyna swoją tułaczkę. Najpierw trafia do pewnych pań, na ulicę Filtrową, poznaje tam

wtedy każdy musi chować się do piwnic. Po pewnym czasie dziewczynka zostaje przeniesiona na ulicę Alberta, gdzie spędza wesołe dni w towarzystwie ciotki Oli. Później krok za krokiem zbliża się jej najszczęśliwszy dzień podczas wojny, a historia ciągle się zmienia. Asiunia przeżywa różne momenty w swoim życiu, strach, tęsknotę, żal, ale odnajduje także chwile szczęścia. Dziewczynka musi sama przetrwać niewiadomo jak długi okres w obcych domach, śpiąc w obcych łóżkach i pijąc z obcych kubków.

Sytuację życiową Joasi, można by obecnie porównać z *survivałem*. Odnoszę wrażenie, że nie tylko mnie przechodzą dreszcze i łzy spływają po policzkach na myśl o tym, że bieda i głód dotykały większość polskich rodzin w tamtym czasie.

Czytając tę książkę, można wczuć się i przeżywać wszystkie sytuacje razem z bohaterami, zarówno te straszne, jak i te zabawne. Niesamowite w „Asiuni” jest to, że zazwyczaj historie opisywane przez Panią Joannę Papuzińską zostały wymyślone, natomiast ta lektura stanowi wyjątek, ponieważ to o czym pisze autorka, jest jak najbardziej prawdziwe, a charakter pisania przypomina pamiętnik.

Uważam, że „Asiunia” jest idealną książką dla dzieci, które dopiero zaczynają swoją przygodę z historią Polski, ponieważ jej język jest łatwy do zrozumienia, a sama opowieść niesie za sobą wiele mądrości, doświadczeń i wiedzy o naszym państwie. Myślę, że jeśli dzieci będą czytać takie książki, żadne pokolenie nie zapomni o ludziach walczących i niosących pomoc w czasie wojny.



### ORINKA OLENCKA (13 lat)

Szkoła Podstawowa nr 340 w Warszawie

Recenzja książki pt. „Dzieci wojennej Warszawy” Małgorzaty Czerwińskiej-Buczek

Mój pradziadek, warszawiak, rocznik 1932, zawsze opowiadał mi o Warszawie sprzed wojny. Opowiadał o niej z sentymentem, często ze łzami w oczach. Kończył zwykle machnięciem ręki i stwierdzeniem, że dzisiaj, to już nie ta sama Warszawa, co kiedyś. Ja też jestem warszawianką, urodziłam się 75 lat później po moim pradziadku. Warszawa w tym czasie zdążyła być kompletnie zburzona, a potem odbudowana. Często spaceruję ulicami miasta i zachwycam się jego pięknem. Często zastanawiam się, jaki był ten przedwojenny warszawski klimat? Na ile dzisiejsza Warszawa jest odzwierciedleniem tamtej, przedwojennej?

Książkę Małgorzaty Czerwińskiej-Buczek „Dzieci wojennej Warszawy” przeczytałam z dużym zainteresowaniem. To seria opowiadań wojennych, inspirowanych prawdziwymi zdarzeniami, których bohaterami są dzieci. Historie te przeprowadzają czytelnika przez okres od pięknych wakacji 1939 roku, poprzez okupację niemiecką do Powstania Warszawskiego, kończąc na jego klęsce i upadku miasta. Walorem tej książki są również zamieszczone w niej zdjęcia dzieci, wykonane podczas wojny, ale też te przedstawiające te same osoby sfotografowane wiele lat później. To właśnie oni byli inspiracją autorki w opowiadaniach.

Książka odtwarza, w bardzo dla mnie emocjonalny sposób, życie warszawskich dzieci podczas II wojny światowej. To istny emocjonalny rollercoaster, czytając, niejednokrotnie płakałam, zaciskając jednocześnie kciuki, aby opowiadane historie skończyły się dobrze. Po lekturze zrozumiałam, że wojna jest dużo bardziej okrutna, niż sobie ją wyobrażałam. Jednak wszyscy musieli sobie jakoś w tych

ekstremalnych czasach poradzić. A co dopiero dzieci. Bo każde dziecko ma marzenia, pragnie biegać tak szybko,

aby przegonić wiatr, mieć wspaniałych przyjaciół, jeździć rowerem, bawić się. Tylko, że wtedy trwała wojna. Okrutna i bezlitosna. Wojna, która kazała dzieciom dorosnąć. Wojna, która zabrała dzieciom dzieciństwo. To wprost niewiarygodne, że te wojenne dzieci chciały pomagać w pokonaniu wroga, choć wiedziały, jakie mogą być tego konsekwencje. Chciały bronić swoich najbliższych, swoje ukochane miasto. To było poświęcenie. Ogromne bohaterstwo. Czytając, zrozumiałam, jak niewiarygodnie ogromną pustkę musiały czuć dzieci, kiedy ich ukochane miasto legło w gruzach. Ale wciąż, one chciały tu zostać. Bo walczyły za Warszawę, a ona, choć zniszczona, pozostała ich domem. Sądzę, że jeszcze warto zapamiętać ostatnie dwa zdania z tej książki: „Nadzieja zawsze była z nami i zostanie. A Otucha wróci, na pewno wróci!”

I właśnie ta dziecięca perspektywa czasu wojny, na tle innych wojennych publikacji czyni tę książkę, moim zdaniem, wyjątkową. Dlatego też szczerze polecam ją wszystkim do przeczytania, a szczególnie młodzieży. Bo to pamiątka, wspomnienia, ale też świadectwo po ludziach, których powoli już nie ma, oraz miście, którego też, w pewnym sensie już nie ma. I znowu spacerując po Warszawie, myślę o swoim pradziadku, o tym, że on też był takim wojennym dzieckiem. Mijając place zabaw ze śmiejącymi się dziećmi, przypominam sobie cytat z książki Małgorzaty Czerwińskiej-Buczek „Każda warszawska dzielnica miała miejsce wyjątkowo ukochane przez dzieci”. I wiem, że w tym względzie nic się nie zmieniło.


**IGA WOJTASIK (11 lat)**

Szkoła Podstawowa z OI nr 342 w Warszawie  
Recenzja książki pt. „Willa pod Zwariowaną  
Gwiazdą” Marii Paszyńskiej

Warszawski Ogród Zoologiczny to miejsce na mapie Warszawy, które jest mi bardzo bliskie. Rodzice przyprawiali mnie tu, kiedy nie potrafiłam jeszcze chodzić, a nasze wizyty były równie częste jak obiady u babci. Willę Żabińskich mijałam dziesiątki razy, lecz nigdy do niej nie zawiatałam. Gdybym tylko wiedziała jaką wspaniałą historię skrywa ten niepozorny budynek...

Tytułowa "Willa pod Zwariowaną Gwiazdą" spod pióra młodej, uzdolnionej polskiej pisarki, Marii Paszyńskiej, to właśnie Willa Żabińskich. Na 368 stronach opowiedziała niezwykłą historię, przeplatając fikcję literacką z faktami historycznymi.

Zarówno tytuł książki jak i jej okładka sprawiają wrażenie, że za chwilę przeczytamy lekką, łatwą i zabawną historię. Nic bardziej mylnego. Opowieść czyta się wprawdzie łatwo, historia jest bardzo wciągająca, ale daleko jej do beztroski, ponieważ opowiada ona o tragicznych losach mieszkańców Warszawy podczas II wojny światowej. Głównym miejscem wydarzeń jest Willa Żabińskich, dom Antoniny i Jana, dyrektora Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, małżeństwa, które w czasie niemieckiej okupacji ukrywało Żydów na terenie powierzonego im ZOO. Jednak to nie Państwo Żabińscy są głównymi bohaterami tej opowieści. Są nimi ludzie, którzy na skutek dramatycznych wydarzeń i dzięki dobroci Jana i Antoniny spotykają się w willi. Pierwszą i najważniejszą z nich jest Piotr, którego poznajemy, gdy jest małym chłopcem. Kolejną jest Żydówka Ada, która uciekła z getta. Ich życie jest pełne tragicznych zwrotów i zawirowań,

ale nie mają rolę jest opisywane szczegóły. Pomimo, że historie głównych bohaterów są

fikcyjne, zdają się być bardzo prawdziwe na tle rzeczywistych wydarzeń, jakie miały miejsce podczas wojny. Autorka zadbała o szczegóły, dlatego granica pomiędzy fikcją, a historią łatwo się zaciera podczas lektury. Książka ma wiele barwnych opisów, zwłaszcza opisów, uczuć bohaterów, przez co czytelnik żywa się z nimi, przeżywa emocje jakie im towarzyszą i trudno jest mu się rozstać się z bohaterami. Zakończenie było dla mnie dużym zaskoczeniem, czuję spory niedosyt i chciałabym wiedzieć co stało się zwłaszcza z Piotrem. To mój ulubiony bohater, z którym dzielę miłość do zwierząt i marzenie, by praca z nimi stała się częścią mojego życia.

Zdecydowanie polecam powieść Marii Paszyńskiej, zwłaszcza osobom, które jak ja chętnie odkrywają tajemnice Warszawy i poznają historię, nawet tę najczarniejszą. Książka jest bardzo poruszająca, smutne fragmenty przeplatane są humorem i optymizmem pani Antoniny, miłością i nadzieją, więc każdy znajdzie w niej coś dla siebie. Poznanie historii skrywanej przez Warszawskie ZOO pozwoliło mi spojrzeć na nie z zupełnie innej strony, więc moja kolejna wizyta w ogrodzie zoologicznym będzie odkrywaniem tego miejsca na nowo.


**WIKTORIA MARCHWACKA (12 lat)**

Szkoła Podstawowa z OI nr 342 w Warszawie  
Recenzja książki pt. „Listy w butelce”  
Anna Czerwińska-Rydel

Utwór „Listy w butelce” porusza niezwykle istotną, uniwersalną kwestię pomocy bez-

Z pozoru zwykłe słowo „Pomoc”, jest kluczowym przesłaniem jakie zawiera opisywany przeze mnie utwór „Listy w butelce”.

Autorką książki jest pani Anna Czerwińska-Rydel, która pisze niesamowite pozycje, dające do myślenia i zwracające uwagę czytelnika na ponadczasowe wartości. Mimo że są one skierowane głównie do dzieci i młodzieży, dorośli również znaleźliby w nich coś dla siebie. Lektura „Listy w butelce” jest opowieścią o Irenie Sendlerowej, pseudonim „siostra Jolanta”. Pomagała ona dzieciom z Getta, uratowała ponad 2.500 dzieci, narażając się na represje. Pewnego dnia została przewieziona na Pawiak. W czasie pobytu w tym miejscu nigdy nie uległa zwątpieniu, nie poddawała się, mimo trudnych okoliczności. Ważna jest sytuacja wizyty u dentystki, która narażając własne życie pomogła Irenie opuścić więzienie. To piękny przykład, dzięki któremu młody czytelnik może dostrzec sens powiedzenia „Dobro wraca.”.

Autorka niezwykle obrazowo i realistycznie ukazuje obraz tamtej rzeczywistości, zwracając jednak uwagę, aby nie wywołać traumy w czytelniku, do którego kierowana jest pozycja. To wyczuwanie pisarskie jest dla mnie bardzo istotne, ponieważ sama jestem wrażliwym odbiorcą.

Bardzo ważna jest też walka bohaterki o zachowanie pamięci o dzieciach i ich losach. Umieszczone w tytułowej butelce listy zwracają uwagę czytelnika na to, jak ważna jest pamięć i historia każdego z nas, jak również to, co tworzy historię narodu.

bronny. Treść utworu pokazuje istotę empatii i poczucia odpowiedzialności za innych, tak ważnych w obecnej, pandemicznej sytuacji. Poznanie tej historii pozwala spojrzeć z dystansem na trudności, jakie nam dziś towarzyszą. Postawa pani Ireny jest wzorem do naśladowania, gdy musimy zmierzyć się z odpowiedzialnością wobec osób bardziej zagrożonych wirusem. Możemy również lepiej dostrzec tych, którzy dziś z narażeniem życia walczą o innych w szpitalach.

Książka „Listy w butelce” powinna być obowiązkową lekturą dla młodego człowieka. Zarówno tematyka jak i sposób jej przedstawienia głęboko poruszają serce i na zawsze pozostaną aktualne. Osoba Ireny Sendlerowej ukazana w książce, jest dla mnie realnym przykładem słów św. Jana Pawła II „Człowiek jest wielki nie przez to co posiada, lecz przez to kim jest i nie przez to co ma, lecz przez to czym dzieli się z innymi.”.





### JAN WAWRYŁO (13 lat)

Szkoła Podstawowa Zakonu Pijarów w Warszawie  
Recenzja książki pt. "Akcja <Kutschera>" Piotra Stachiewicza

Książka „Akcja <Kutschera>” napisana przez Piotra Stachiewicza opowiada - jak sam tytuł wskazuje - o zamachu na nazistowskiego generała Franza Kutschera, który miał miejsce 1.02.1944 r. w Alejach Ujazdowskich. Jakiś czas temu oglądałem film o tym wydarzeniu i dużo się z niego dowiedziałem. Miałem nadzieję, że książka wzbogaci i rozszerzy moją wiedzę oraz będzie trzymała w napięciu podobnie jak film. Czy tak się stało?

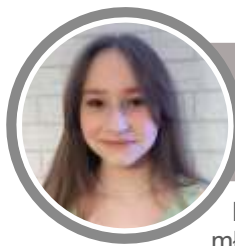
Książka została wydana w Warszawie w 1987 r. Kiedy zacząłem ją kartkować w bibliotece, moją uwagę przykuły zdjęcia bohaterów tamtej epoki. Mimo to wydana jest dość skromnie, bez barwnych ilustracji. Pierwsze kilkadziesiąt stron książki stanowiło wprowadzenie. Autor przedstawił nazwiska i pseudonimy członków Armii Krajowej, którzy brali udział w przygotowaniu akcji. Dzięki temu osoby, które nie zetknęły się wcześniej z tematem, mogły się zapoznać ze złożoną sytuacją militarno-historyczną tego okresu. Niestety opis teoretyczny ciągnął się, jak dla mnie, zdecydowanie zbyt długo. Ciężko było mi nie przerwać lektury, brakowało spójności i płynności tekstu. Zastanawiałem się, czy informacje o tym, ile zarabiał dowództwo, a ile osoby pracujące na ćwierć etatu, były rzeczywiście tak potrzebne, by poświęcać im wiele uwagi. Na pewno zainteresują one tych, którzy z pasją zgłębiają historię Polskiego Państwa Podziemnego, ale moi rówieśnicy mogliby potraktować je jako zbędne.

Kiedy uporałem się ze wstępem, zrobiło się ciekawiej. Autor przytaczał interesujące teksty źródłowe, w których zna-

lałem wiele pożytecznych informacji. Fabuła zyskała na płynności, samo przygotowa-

nie do zamachu na „kata Warszawy” zostało szczegółowo i precyzyjnie opisane. Zamieszczona w książce mapa - plan sytuacyjny akcji i trasa przewozu rannych - umożliwiła wyobrażenie całej sceny. Niestety sama akcja była przedstawiona krótko, zbyt szybko autor przeszedł do omawiania następstw zamachu. Wróciła nudnawa narracja. Sytuację ratowały teksty źródłowe i relacje świadków.

Szkoda, że na podstawie tak fascynującej akcji, która była wielkim sukcesem ówczesnej Armii Krajowej, powstała tak nierówna książka. Mimo jej wad, bardzo polecam ją wszystkim miłośnikom historii. Na pewno znajdą w niej ciekawe informacje, które odpowiednio przedstawione byłyby znakomitym materiałem na powieść dla młodzieży.


**ALEKSANDRA SOBCZYK (13 lat)**

Szkoła Podstawowa nr 340 w Warszawie

Recenzja książki pt. „Dzieci wojennej Warszawy”

Małgorzata Czerwińska-Buczek

Należę do tej części młodego pokolenia, które bezwarunkowo lubi czytać i nie wyobraża sobie życia bez kontaktu z literaturą.

Szpecially bliska jest mi literatura faktu, przedstawiająca autentyczne postaci i wydarzenia, które naprawdę miały miejsce. Być może dlatego z wielką przyjemnością sięgnęłam po książkę Małgorzaty Czerwińskiej-Buczek „Dzieci wojennej Warszawy”. Jest ona napisana prostym, zrozumiałym chyba dla każdego językiem. Podczas czytania lektury, przewraca się kolejne kartki tak szybko, że niespodziewanie następuje koniec, a wówczas pojawia się żal i pytanie, czemu tak szybko?

Książka jest zbiorem wzruszających opowiadań, powstałych na podstawie prawdziwych historii i przeżyć dzieci, których dorastanie nieszczęśliwie przypadło na czasy wojennej zawieruchy. Składa się z 5 części: Warszawskie dzieci, Sierpień 1939 roku, Wrzesień 1939 roku, Okupacja, Powstanie. Części te nie są ze sobą bezpośrednio powiązane, łączy je jedynie miejsce i czas akcji, czyli Warszawa w okresie II wojny światowej. Każde z opowiadań przedstawia losy dzieci oraz ich najbliższych na chwilę przed wybuchem wojny, podczas niemieckiej okupacji i w Powstaniu Warszawskim. Losy małych, często kilkuletnich bohaterów zostały opisane przez pryzmat tego, jak postrzegali wojnę i jej okrucieństwa.

Szpecially wrażenie wywarło na mnie opowiadanie Sabina. Pierwowzorem i natchnieniem do jego napisania była Barbara Danuta Kalinowska-Żak z domu Reinhard. Dziesięcioletnia dziewczynka w grudniu 1939 roku postanowiła pokonać dziesięć kilometrów, brnąc po

pas w śniegu, narażając się na zamarznięcie, by za wszelką cenę ostrzec ojca, który ukrywał się przed Niemcami w leśniczówce. Jako najbliższy współpracownik prezydenta stolicy - Stefana Starzyńskiego był osobą szczególnie poszukiwaną przez okupanta. Nikt jej o nic nie prosił, nie tłumaczył, gdzie znajduje się ukochany tatuś. To dziecięca intuicja podpowiedziała, co ma robić i gdzie ma go szukać. Sabina była, tak zdeterminowana w swoim postanowieniu, że wymusiła zgodę mamy na tę szaloną i niebezpieczną misję. Szła przez pola, wiele razy się przewróciła, mróz szczypał ją w twarz. Po kilku godzinach marszu osunęła się ze zmęczenia w śnieżną zaspę. Z niepokojem rozglądała dookoła, nie wiedziała, czy idzie w dobrym kierunku. Świat otulony śniegiem wyglądał zupełnie inaczej, zapadał zmierzch...

Świadomie nie chcę zdradzić zakończenia tej historii, jeśli kogoś zaintrygowałam, zaciekawiłam, to koniecznie zachęcam do przeczytania. Dzięki licznym czarno-białym fotografiom zamieszczonym w książce, mamy możliwość bezpośredniego poznania dziecięcych bohaterów, zobaczenia jak naprawdę wyglądali, co jeszcze bardziej pobudza naszą wyobraźnię i pomaga zrozumieć, w jak trudnych warunkach przyszło im żyć. Zdjęcia: Danuty Kalinowskiej-Żak, Uli Kurkowskiej, Jerzyka Janowskiego czy Jadwigi Wysockiej sprawiają, że te postaci stają się nam bardzo bliskie, są przecież takie realne, na wyciągnięcie ręki. Wraz z wybuchem wojny ich beztroskie dzieciństwo, pełne marzeń i dziecięcych planów przestało istnieć. Musieli szybko dorosnąć i za-

akceptować realia wojny i niemieckiej okupacji. Zamiast uczniami w wielu przypadkach stali się żołnierzami, łącznikami lub sanitariuszami.

Janek - bohater opowiadania Jarzębinka pomagał rannym w szpitalu, donosił zupę gotowaną przez babcię, szukał rannych pod gruzami zbombardowanych domów. Andrzej z historii Najmłodszy żołnierz bacznie obserwował okolicę po to, by namierzać miejsca, gdzie Niemcy zrzucali małe zapalające bomby, wywołujące pożary kamienic. Szybka ich lokalizacja pozwalała zażegnać niebezpieczeństwo pożaru. Zosia z opowiadania Biała chusteczka jako harcerka narażała swe życie, zrywając niemieckie plakaty i ogłoszenia. Dostarczała innym harcerzom egzemplarze książki Kamieni na szaniec. Każdy z tych młodych ludzi chciał ją koniecznie przeczytać i postępować tak, jak jej bohaterowie. Było to bardzo ryzy-

kowe, gdyż książka znalazła się na czarnej liście okupanta. Wszyscy czuli potrzebę walki z wrogiem i robili to na miarę swoich możliwości. Często paraliżował ich strach, przeżywali rozłąkę z najbliższymi, znosili głód i inne niewygody, ale nie narzekali, rozumieli, że najważniejsze jest przetrwanie.

Książka Dzieci wojennej Warszawy, choć krótka, bo licząca niewiele ponad 100 stron, jak żadna inna dała mi wyobrażenie o tym, czym była wojna widziana oczyma dzieci. Skłoniła do refleksji nad wartością życia, a jednocześnie pozwoliła docenić świat, w którym dane jest nam dorastać. Polecam książkę wszystkim młodym ludziom, szczególnie tym, którzy narzekają z powodu nawet najmniejszej, napotkanej trudności. Uważam, że powinni po nią sięgnąć również dorośli, żeby utrwalić w swej świadomości ważną przestrogę-przesłanie „nigdy więcej wojny”!

## Komentarze jurorek oceniających wszystkie recenzje



*Autorzy prac podjęli próbę stawienia czoła skrajnie trudnemu zagadnieniu, jakim jest recenzja książki o tematyce historycznej. Co ciekawe większość z nich wybrała książki dotyczące problematyki wojny i okupacji. Autorzy dostrzegli problemy, które ich poruszyły i skupili na nich uwagę. Większość prac poprawna pod kątem merytorycznym. Uczniowie wiedzą, co to jest recenzja i podają podstawowe informacje dotyczące książki i jej autora. W pracach odnajdujemy subiektywną ocenę różnych elementów wybranego utworu oraz słownictwo perswazyjne. Prace zachwycają poprawnością kompozycyjną, prawidłowym układem kompozycyjnym oraz spójnością tekstu. Styl prac właściwy, funkcjonalny - dostosowany do formy recenzji - jasny i komunikatywny, niekiedy także barwny. Prace wartościowe literacko!*

**Agnieszka Szostak - Kozieł**

nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 85 im. B. Juareza w Warszawie



*Recenzje książek historycznych przedstawione do oceny jury przez uczestników projektu "doSŁOWNIE o WARSZAWIE" reprezentowały zróżnicowany poziom. Były wśród nich prace zadziwiające dojrzałością spojrzenia, trafnością obserwacji i ciekawym stylem, były również prace o wiele słabsze, choć tych drugich było zdecydowanie mniej. Recenzje uczestników warsztatów były bardzo różne w formie od doskonałych, lecz bardzo zwięzłych prac, po zajmujące, choć rozwlekłe elaboraty, co pokazuje, w którą stronę zmierza niewątpliwy talent młodzieży. Jedni skłaniają się ku oszczędnemu stylowi reportażystów, inni w stronę potoczności literatury pięknej. Na uwagę zasługuje też dobór lektur do recenzji. Uczniowie sięgali zarówno po utwory z kanonu lektur, klasyki literatury, jak i całkiem nowe pozycje.*

**Maria Paszyńska**

pisarka, felietonistka

A stylized orange graphic featuring a large central circle with a white outline. A thick orange line curves from the top left, passing behind the circle, and another thick orange line curves from the bottom right, passing in front of the circle. A small white dot is located on the bottom right edge of the circle. In the top right corner, there is a small orange circle with a white outline.

ZDJĘCIA uczestników  
WARSZTATÓW  
FOTOGRAFICZNYCH



**ALICJA SŁUPECKA (15 lat)**

Szkoła Podstawowa z oddziałami integracyjnymi  
nr 206 im. Władysława Reymonta w Warszawie





**MARTA FALKOWSKA (13 lat)**  
Szkoła Podstawowa nr 175  
im. Heleny Marusarzówny w Warszawie





**ZOFIA FLAZIŃSKA (12 lat)**

Szkoła Podstawowa nr 3

im. Dzieci Powstania Warszawskiego w Warszawie





*najciekawsze*  
**OPOWIADANIA**  
*z historią*  
*Warszawy w tle*




**ANTONINA KASZA (14 lat)**

Szkoła Podstawowa nr 340

opiekun merytoryczny: Małgorzata Dudek-Niczyporuk

tytuł: „Nauka”

Dzień zapowiadał się dość słonecznie. Julian Tuwim, jak zwykle to miał w zwyczaju, zdążył do Małej Ziemiańskiej na spotkanie z innymi literatami. Chodził tam niemalże codziennie, gdyż rozmowy, które toczył ze znajomymi, służyły mu często za inspirację do pisania prac. Zasiłyszane historie pozostawały w jego umyśle tak długo, aż nie przelał słów na papier. „Taki jest już los poety” - myślał Julian, wyczekując momentów, w których stworzy nowe dzieło.

Szedł powoli ulicą Mazowiecką, rozkoszując się promieniami słońca padającymi na szare ściany wysokich budynków. W powietrzu unosiło się coś, co sprawiało, że chciało się żyć. Otworzył ciężkie, drewniane drzwi kawiarni, naciskając mosiężną klamkę. Poczłł słodki zapach wypełniający wnętrze lokalu. Rozpoznał w nim aromat świeżo wypieczonych maślanych rogalików i wcale się nie mylił. Trzech piekarzy wnosilo właśnie ogromne tace wypełnione po brzegi rumianymi wypiekami. Tuwim zapewne stałby w bezruchu jeszcze przez dłuższą chwilę oczarowany miłymi aromatami, gdyby nie kelner przywołany do sali dźwiękiem dzwoneczka przyczepionego do drzwi. Kulturalnie przywitał gościa, kłaniając się nisko. Młody chłopak o jasnej twarzy miał na sobie białą, nienagannie wyprasowaną koszulę i czarny frak. W rękę trzymał okrągłą, brązową tacę. Tuwim usiadł przy stoliku, który zazwyczaj zajmowali jego przyjaciele. Teraz czekał już tylko na resztę towarzystwa. Zdjął szarą marynarkę i niedbale przewiesił ją przez poręcz krzesła. Zegar ścienny pokazał właśnie godzinę dziewiątą. Tuwim przejrzał menu i zamówił kawę. Czekając, zabrał się do czytania porannej prasy, którą znalazł w swojej skrzynce pocztowej.

Zanim zdążył przeczytać pierwszą stronę gazety, przyszedł Antoni Słonimski. Tuż po nim wszedł Jarosław Iwaszkiewicz wraz z Janem Lechońiem. Na widok przyjaciół Julian poderwał się z krzesła. Serdecznym powitaniem nie było końca. Wszyscy usiedli przy stoliku. Jedyne Kazimierz Wierzyński przyszedł spóźniony, wpadając po drodze na kelnera niosącego tacę firmowych „ziemianek”. Poeta opadł z westchnieniem na krzesło i z przepaszającym wyrazem twarzy powiedział:

– Wybaczcie mi to spóźnienie...

– Nic nie szkodzi. Już się przyzwyczailiśmy – odparł rozbawiony Tuwim. – Tylko następnym razem uważaj na kelnera!

– Następnego razu już nie będzie – zapewnił Wierzyński, próbując ukryć zakłopotanie.

– Ale, musicie mi wierzyć, że to wszystko przez tych dzisiejszych uczonych. Spotkałem mojego starego przyjaciela, jeszcze z czasów studenckich, który to uważa się za wielce wykształconego, choć tak naprawdę nim nie jest. Próbowałem z nim porozmawiać, ale ciągle się wymądrzał, mówiąc, że to on ma rację.

– Oj, to prawda. Z uczonymi nie tylko nie da się podyskutować, ale nawet nie można im powiedzieć, że w czymś się mylą – dodał Lechoń – po prostu tego nie rozumieją.

– I do tego wszystkiego próbują udawać dostojnych, a wcale tacy nie są! – dopowiedział Słonimski, pijając kawę.

– Świat jest pełen tajemnic – włączył się do dyskusji Tuwim. – Pamiętajcie, co powiedział Szekspir? „Są dziwy na niebie i ziemi, o których ani śniło się waszym filozofom”. Kto jeszcze pamięta słowa wielkiego Williama?

Mówiąc to, Tuwim poczuł, że w Małej Ziemiańskiej nareszcie poruszany jest temat godny uwagi. Miał też wrażenie, że literatów zajmuje w końcu coś więcej niż skandale z udziałem Dagny Juel Przybyszewskiej. Oczywiście, trudno było się oprzeć plotkom rodem z Krakowa, ale tematy filozoficzne były prawdziwym pokarmem dla duszy poety.

Julian wyjął z teczki zeszyt i szybkim ruchem ręki wyrwał z niego kartkę. Rozprostował papier i zaczął notować. Zapisywał poglądy swoich towarzyszy. Każdy z nich miał odmienną wizję przyszłości, ale co do jednego pozostawali zgodni- nie można oprzeć się jedynie na postępie technologicznym. W czasach ogromnej popularności idei „3M - miasto, masa, maszyna”, literaci pozostawali sceptyczni wobec zawierzenia wszystkiego rozwojowi cywilizacyjnemu. W każdym z nich tkwił bowiem pierwiastek prawdziwego romantyka. Samemu Tuwimowi z kolei najbliższą było do idei Iwaszkiewicza, mówiącej, że najważniejszą lekcją dla człowieka jest samo życie.

Podczas gdy w Małej Ziemiańskiej toczyła się dyskusja o wyższości codziennych doświadczeń nad postępowaniem technologii, słońce chowało się już za dachami budynków, pozostawiając po sobie jedynie nikłe pomarańczowe promienie. Po niebie, niby po spokojnej fali oceanu, płynęły szarawe obłoki. Kiedy dyskusja literatów dobiegła końca, Tuwim pożegnawszy znajomych, wyszedł z kawiarni i ruszył w stronę domu.

Wiedząc, że do mieszkania dotrze w ciągu zaledwie dwóch minut, postanowił skrócić jeszcze w Kredytową. Potrzebował spaceru. W głębi serca czuł bowiem, że coś w nim kielkuje. Słowa tłoczyły się w głowie Juliana, nie pozwalając mu ani na chwilę zapomnieć o odbytej w Małej Ziemiańskiej dyskusji. Na nic zdały się jego usilne próby skupienia uwagi na wracających z pracy mieszkańcach miasta. Zatrzymał się. Z kieszeni marynarki wyjął złożoną na pół kartkę z zapisem poglądów przyjaciół i jeszcze raz ją przeczytał. Nagle cały świat jakby zamilkł. Tuwim szedł dalej, myśląc już jedynie o nauce.

– Ludziom przekazuje się tak dużo wiedzy. Wciąż dowiadujemy się czegoś nowego. Zewsząd bombardują nas nowymi informacjami. A niektóre zjawiska wciąż są tajemnicą i zagadką - zaczął szeptać pod nosem, patrząc w stalowoniebieskie niebo. - Najważniejsze jest jednak to, czego uczy nas życie i to właśnie jest najistotniejsza lekcja – mówił dalej, przykładając palec do ust.

Tuwim nie zorientował się nawet, że zszedł z chodnika na ulicę. Z zamyślenia wyrwał go nagły odgłos końskiego rżenia. Stał. Nie wiedział, co dokładnie się wydarzyło. Powoli obrócił głowę w kierunku, z którego dobiegł go dźwięk. Tuż przed nim stał biały, masywny koń ciągnący dorożkę. Woźnica pokrzykiwał i wygrażał poecie, lecz Julian nie słyszał jego przekleństw. Był co prawda przerażony niebezpieczeństwem w jakim się znalazł, lecz może ze strachu, a może z przypływu twórczej weny, nie wydobył z siebie ani słowa. Gdy ochłonął, ruszył powoli i uważnie.

Otworzył kluczem ogromne, drewniane drzwi i wszedł do środka. Na twarzy poczuł chłód powietrza wypełniającego się mieszkanie. Przeszedł do swojej biblioteki pełnej książek. Usiadł przy mahoniowym biurku i zaczął dumać. Rozmyślał o dzisiejszej dyskusji, o edukacji, o tym, co dla człowieka jest najważniejsze. Z zamyślenia otrząsnął się dopiero, gdy na zewnątrz już dawno zrobiło się ciemno. Rozpalił lampkę stojącą na biurku i zaczął pisać. Gdyby w tamtym momencie któryś z przechodniów spojrzął w okna kamienicy na pierwszym piętrze, ujrzałby zapewne mężczyznę pochyloną nad blatem biurka, oświetlonego ciepłym światłem lampy, pochłoniętego swoim zajęciem tak, że wydawał się tkwić w zupełnym bezruchu. Słowa same zaczęły układać się w zdania. I tak powstał wiersz. Na lekko poźółkłej kartce, nakreślony pochyłym pismem Tuwima, głosił:

„Nauczyli mnie mnóstwa mądrości,  
Logarytmów, wzorów i formułek,  
Z kwadracików, trójkącików i kótek  
Nauczali mnie nieskończoności.  
Rozprawiali o „cudach przyrody”,  
Oglądałem różne tajemnice:  
W jednym szkiełku „życie w kropli wody”,  
W innym zaś – „kanały na księżycu”.

Mam tej wiedzy zapas nieskończony;  
 2piR i H2SO4,  
 Jabłka, lampy, Crookesy i Newtony,  
 Azot, wodór, zmiany atmosfery.  
 Wiem o kuli, napełnionej lodem,  
 O bursztynie, gdy się go pociera...  
 Wiem, że ciało pogrążone w wodę  
 Traci tyle, ile... etcetera.  
 Ach, wiem jeszcze, że na drugiej półkuli  
 Słońce świeci, gdy u nas jest ciemno!  
 Różne rzeczy do głowy mi wkuli,  
 Tumanili nauką daremną.  
 I nic nie wiem, i nic nie rozumiem,  
 I wciąż wierzę biednymi zmysłami,  
 Że ci ludzie na drugiej półkuli  
 Muszą chodzić do góry nogami.  
 I do dziś mam taką szkolną twogę:  
 Bóg mnie wyrwie - a stanę bez słowa!  
 - Panie Boże! Odpowiadać nie mogę,  
 Ja... wymawiam się, mnie boli głowa...  
 Trudna lekcja. Nie mogłem od razu.  
 Lecz nauczę się... po pewnym czasie...  
 Proszę! Zostaw mnie na drugie życie  
 Jak na drugi rok w tej samej klasie."

Tej nocy Tuwim nie zmrzył oka. Przeczytał utwór kilkadziesiąt razy, aby znaleźć w nim jakiegokolwiek usterki. Ciągle jednak miał poczucie, że stworzył dzieło doskonałe. To zdarzało się w jego pisarskim życiu bardzo rzadko- napisać wiersz i nie mieć do niego uwag. Żadnych skreśleń, nic do zmiany. Czy to możliwe? Poeta przypatrywał się strofom z niedowierzaniem. Podeszedł do okna.

Mieszkańcy Warszawy szli ulicami Śródmieścia. Jedni wyglądali na zmęczonych - zapewne wracali już do domów po wieczornych zmianach w fabrykach. Inni z kolei przeciwnie, wydawali się dopiero zaczynać nocne życie. Roześmiane grupy kobiet i mężczyzn zasiadały przy restauracyjnych stolikach. Nie przeszkadzał im chłód tej nocy - uradowani własnym towarzystwem i perspektywą długich rozmów, obejmowali się ramionami i głośno śmiali. Kobiety w kwiecistych sukienkach, mężczyźni w tweedowych marynarkach i Warszawa - tętniąca życiem Warszawa. Ukochane miejsce Tuwima. Miasto, które nigdy nie śpi. Miasto, które przeżyło tak wiele. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze pięć lat temu spadały tu bomby i każdy bał się o swoje życie. Tej nocy historia wydawała się jednak bardzo odległym snem. Wspomnieniami, które nigdy nie miały miejsca. Ułudą, iluzją. Tej nocy bowiem życie stolicy kwitło, a warszawianie korzystali z wolności własnego miasta.

Około czwartej nad ranem światło w oknie Tuwima w końcu zgasło. Poeta zapadł w sen. Śniły mu się litery, które posłusznie, jak rozkaz, układają się w okrągłe zdania. Śniły mu się rzędy wersów, z których powstaje wiersz idealny. Rymy tworzą się niemalże same. Rytm utworu powstaje z niczego. Dzieło zostaje wydane. Ma tytuł - „Nauka”.



### JAN WAWRYŁO (13 lat)

Szkoła Podstawowa Zakonu Pijarów w Warszawie  
opiekun merytoryczny: Anna Szewc  
tytuł: „(nie)zwykły chłopak”

Co takiego ma 12-letni chłopak, że przychodzi po niego rój policjantów i cały blok przy ulicy Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Warszawie otoczony jest przez antyterrorystów? - zastanawiałem się nad tym bardzo krótko. Bo taka sytuacja naprawdę mi się przydarzyła. Policjanci weszli z pistoletami wycelowanymi we wszystko, co się ruszało. Zagonili mnie, moja siostrę i rodziców do jednego pokoju i rozpoczęło się przesłuchanie:

- Dlaczego to ukradłeś? - spytał najwyższy rangą policjant.
- Ale, co ukradłem? - pytanie skierowane było do mnie.
- Nie rób mnie w balona - rzucił szorstko funkcjonariusz.
- Jeśli coś ukradłeś, to lepiej to oddaj - dodał milczący dotąd tata.
- Kiedy ja nic nie wzięłem - zapierałem się.
- Myślisz, że ci uwierzę? I tak wiem, że to ty. Oddaj obraz, to obejdziemy się z tobą łagodnie.
- Kto by tam wam wierzył - wymusknęło mi się...
- Widzę, że nie dojdziemy do porozumienia. W takim razie pójdziesz z nami. Wtedy nagle cały blok zadrzął i runął. To dziwne, przecież to nowoczesny blok, niedawno wybudowany. Miał być odporny na wszelkie wstrząsy (tak twierdzili urzędnicy ratusza). Kiedy szok minął, zdałem sobie sprawę, że żyję. Jakimś cudem mnie nie przysypało. Nie zdążyłem jednak ochłonać, bo jak spod ziemi wyrósł przede mną obcy człowiek:
- Chodź z nami - zasyczał.
- Ale... - zająknąłem się.
- Bez ale, chodź albo źle się to dla Ciebie skończy.
- Mimo oporu zaciągnął mnie do samochodu.
- Kim jesteście? Policją?
- Bynajmniej, walczymy z policją, a ty masz informacje, jakich potrzebujemy.
- Ja? Dlaczego ja? Gdzie są moi rodzice?
- Spokojnie, młody. Ekipy ratunkowe będą tu lada chwila. Znajdą ich.
- Ale ja chcę iść do nich teraz!
- Opowiesz szefowi o obrazie, to nie będziesz musiał długo czekać na spotkanie z rodzicami. Dojechaliśmy do wysokiego budynku. Zanim zasłonięto mi oczy, zdążyłem się zorientować, że to prawdopodobnie nowy hotel Warszawa, wybudowany na miejscu najwyższego budynku międzywojennej Warszawy - Prudentialu. Człowiek w czerni zaprowadził mnie do gabinetu, otworzył drzwi i wepchnął do środka. Po czym wyszedł. Na ścianach pokoju wisiły niesamowite obrazy, czułem się jak w muzeum...
- Widocznie brakuje im tego obrazu do kolekcji - przemknęło mi przez myśl.
- Dopiero wtedy zauważyłem, że na fotelu przede mną, odwrócony plecami, siedział jakiś mężczyzna. Milczał, miał około 60 lat, siwe włosy i czarne, budzące grozę oczy.
- Witaj - powiedział. - Jestem dyrektor Marley. Usiądź sobie wygodnie, pogadamy o sztuce XIX-wiecznej Warszawy. Czuję, że mam do czynienia z ekspertem.
- Mówiąc to, ustąpił mi miejsca. Gdy usiadłem na jego fotelu, wcisnął czerwony guzik, którego wcześniej nie zauważyłem. W tym momencie fotel otoczył mnie super twardym szkłem tak, że nie mogłem się z niego wydostać.
- Teraz zacznie się zabawa - roześmiał się. Wtedy straciłem przytomność.
- Ocknąłem się, bo ktoś uderzał w szybę twardym przedmiotem. Szkło pękło.
- Jesteś cały? - spytał nieznajomy. Był wysoki i miał oczy niebieskie jak morze, przyjazne.
- Tak - odpowiedziałem.

– To dobrze. Uciekamy stąd.

– Kim jesteś?

– Agentem specjalnym, mam na imię Rick. Próbuję rozwiązać pewną zagadkę.

Biegliśmy przez całą masę korytarzy. Gdy byliśmy już przy wyjściu, usłyszałem przerażającą śmiech:

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. He he he he...

– Biegnij do czerwonej ciężarówki - szepnął agent. Ja zajmę się dyrektorem.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać, w szkole zawsze wygrywałem wszystkie biegi. Na parkingu stały dwie czerwone ciężarówki. Podbiegłem do pierwszej z lewej. Nie, to chyba nie ta. Potem do drugiej. Coś mi mówiło, że jestem w pułapce. Nagle usłyszałem krzyk. Rick nie wyrobił się na zakręcie i wpadł prosto do pierwszej ciężarówki. Pobiegłem za nim. Dziwne, ale jego już nie było. W głębi majaczyła fioletowa maź. Raz kozie śmierć - pomyślałem i skoczyłem. Pochłonęła mnie ciemność. Zamknąłem oczy i...

Spadłem do pracowni jakiegoś artysty. Wszędzie dookoła były obrazy i sztalugi.

– Witaj - powiedział mężczyzna.

Miał około 40 lat i po pobieżnym zlustrowaniu jego pracowni stwierdziłem, że musi być malarzem.

– To ty jesteś tym chłopcem?

– Taaak... - odparłem rozkojarzony.

– To świetnie. Proszę, tylko uważaj na to - powiedział, wręczając mi obraz.

– Przepraszam, jak się pan nazywa?

– A, nie powiedzieli ci? Myśleli, że tak będzie bezpieczniej. Ale ja już niczego się nie boję. Przeżyłem powstanie. Malując „Wzięcie Arsenału w noc 29 listopada 1830 roku” narażałem własne życie. Ale wierzę, że Warszawa warta jest poświęcenia. To piękne miasto, moje największe dzieła tworzę dla niej. Nazywam się Marcin Zaleski, zapamiętaj mnie, chłopcze. Mam dopiero 38 lat i nadal czuję w sobie moc twórczą.

– Dobrze, zapamiętam. Ale gdzie mam zanieść ten obraz?

– Tego też ci nie powiedzieli? Na Krakowskie Przedmieście, na wystawę. Ruszaj prędko, bo nabywca nie będzie czekał. A ja mam pracę do wykonania.

Ponieważ po wcześniejszych przeżyciach nic mnie już nie dziwiło, pożegnałem się z malarzem i ruszyłem w drogę. Krakowskie Przedmieście to co prawda długa ulica, ale chętnie się przejdę z takim pięknym obrazem. Przedstawiał wnętrze katedry. Na pewno nie była to katedra warszawska, poznałbym. Jako dziecko miałem pewną pasję: zwiedzałem kościoły Warszawy. Mama zamiast do parku, zabierała mnie na nabożeństwa. Mnie samemu trudno to dziś zrozumieć. Ale coś mi w głowie z tego okresu zostało: katedra świętego Jana to Świętojańska 8, obok jest kościół jezuitów, potem kościół świętego Jacka (dominikanie) i Świętego Ducha (paulini). Ciekawe skąd jest ta katedra na obrazie, szkoda, że nie zapytałem. Teraz już nie wypada wracać.

Kiedy wyszedłem z kamienicy, przeżyłem szok. To nie było moje miasto, to znaczy, to chyba była Warszawa, ale jakby inna. Ulice są brukowane, zamiast aut widzę konne powozy. Gdzie ja jestem? W teatrze? Czy też może przemieściłem się w czasie? Coś tu musi być nie tak. Doszedłem do skrzyżowania ulic Karowej i Krakowskiego Przedmieścia i nie widzę pomnika Bolesława Prusa... On tu zawsze stał, ten staruszek z laską, z rękami skrzyżowanymi na plecach. Tyle razy do niego przychodziłem, czasem nawet zagadywałem, licząc na jakąś gawędę warszawską. Ale dzisiaj go tu nie ma! Zaraz, zaraz, przecież na obrazie jest data. To 1834 rok... Mój Boże, jestem w XIX-wiecznej Warszawie!

Nagle zobaczyłem Ricka, szedł ostrożnie za oddziałem rosyjskich żołnierzy. Ciekawe co on knuł?

– Złodzieju, zostaw ten obraz! - ktoś krzyknął.

– Niczego nie kradnę! - odpowiedziałem zaskoczony.

Wtedy zobaczyłem niepasującą do krajobrazu czerwoną ciężarówkę. Złapałem dzieło

sztuki najmocniej jak potrafiłem i popędziłem za nią. To przez nią się tu dostałem i to ona mnie stąd wyprowadzi - przemknęło mi przez myśl. Rick spojrział na mnie i także zaczął biec w kierunku ciężarówki. Odległość między mną a pojazdem stale się zmniejszała. 10 metrów, 9, 8... Agent przyspieszył, bo jeden z żołnierzy wyraźnie ładował swój karabin. 7, 6, 5 metrów. Jeszcze trochę - mówiłem sobie w myślach. 4,3,2, Rick zrównał się ze mną. Nagle w ciężarówkę uderzyło auto, nie, to nie było auto, to druga ciężarówka. Przyspieszyliśmy, Rick wpadł do niej pierwszy. Wskoczył. Ja próbowałem złapać się poręczy, ale ręka okazał się za krótka. Już miałem upaść, gdy ktoś złapał mnie i wciągnął:

– Chodź - powiedział niebieskooki agent. - I pochłonęła nas fioletowa maź...

Lecieliśmy, lecieliśmy i nagle wpadliśmy w sam środek strzelaniny.

– Widzisz tę kamienicę? - krzyknął Rick.

– Którą? - wrzasnąłem przerażony.

– Tę ruinę, chowamy się tam, bo inaczej nas zastrzelą.

Wcisnąłem obraz mocniej pod pachę (jakimś cudem go nie zgubiłem w tym zamieszaniu) i ruszyłem przed siebie. Gdy się schowaliśmy i huk strażaków nieco ucichł, Rick stwierdził:

– Cholera, znów źle skalibrowali tę maszynę. Trafiliśmy do roku 1944, to chyba Powstanie Warszawskie. Przeszedłem dokładne szkolenie historyczne, rozróżniam wszelkie rodzaje broni. A zauważyłem, że jeden z Niemców ma pistolet maszynowy MP 28 II, inaczej "bergmann". Musimy jak najszybciej znaleźć ciężarówkę, bo nas zastrzelą.

– Poczekaj, poczekaj - zamyśliłem się. Czy to nie jest słynny Pasaż Simonsa, ta reduta Powstańcza, którą widziałem na zdjęciach Muzeum Powstania Warszawskiego?

– Musisz być dobry z historii, Mały. Może pozwoli ci do nas dołączyć? Jeśli przeżyjemy to piekło, rzecz jasna.

– Jeśli dziś jest 31 sierpnia 1944 r., to mamy kłopoty. Zaraz zbombardują nas niemieckie stukasy. Budynek nas przywali. Wiejemy!!!!

W tym momencie przed nami pojawiła się czerwona ciężarówka. Biegliśmy do niej ile sił w nogach. Niestety, jak tylko wskoczyłem, przypomniałem sobie, że obraz Zaleskiego został w Pasażu Simonsa.

– O nie. Musimy wracać. Zostawiłem obraz!

– Trudno, życie jest ważniejsze niż dzieło sztuki. Widzę już nadlatujące samoloty. Skaczemy - rozkazał Rick.

Uff... Udało się. Żyjemy. Stoimy przed hotelem Warszawa, okolica zdaje się być współczesna. Tylko cały plac Powstańców Warszawy zapełniają auta policyjne.

– To pewnie przez niego, patrz, próbuje się wymknąć z hotelu - wskazał ręką dyrektora Marleya. - Nie pozwólmy mu uciec, to znany paser.

Mimo zmęczenia działanie adrenaliny było mocne. Rzuciliśmy się na niego obaj i wyrwaliśmy obraz, który chował pod płaszczem.

– Rick, to ten sam obraz, który zgubiłem w Powstaniu Warszawskim.

– Nie chciałem ci wcześniej mówić, ale to dzieło sztuki, którego szukaliśmy od wielu lat. To słynne „Wnętrze Katedry w Mediolanie” Marcina Zaleskiego.

– Czyli nie zgubiłem go w 1944 r.?

– To długa historia, obiecuję jednak, że kiedyś Ci wszystko wyjaśnię. A teraz znikaj. Twoi rodzice się znaleźli. Pójdź pod ten adres, a znajdziesz ich całych i zdrowych.

– Boże, Rick. Jak ja się cieszę! Czy my się jeszcze zobaczymy?

– Jasne, Młody. Takich jak ty nam potrzeba. Nie zdziw się, ale pewnie dostaniesz zaproszenie do Muzeum Narodowego. I tam profesor Piotr Gliński będzie chciał uścisnąć ci rękę.

– Ty mówisz serio? Ja i minister kultury?

– Sporo wiem o przeszłości i trochę o przyszłości. Ale teraz zmykaj. Już sam się postaram o to, żeby obraz trafił we właściwe miejsce. Pana Marleya też oddam w dobre ręce.

– Dziękuję Rick za wszystko.

– Nie ma za co. Tacy jak my po prostu muszą trzymać się razem.


**OTYLIA DĄBROWSKA (13 lat)**

Szkoła Podstawowa z OI nr 206 w Warszawie  
opiekun merytoryczny: Anna Niemyjska  
tytuł: "Naszyjnik"

Zapowiadał się piękny i słoneczny dzień. Wstałam rano z ekscytacją, bo dziś robiono zdjęcia klasowe. Zawsze je lubiłam. Były wspaniałą pamiątką, która miała zostać z nami przez wiele lat i przypominać nam piękne,

szkolne czasy.

Tego dnia miałam na sobie biało-czarną sukienkę do kolan i białe rajstopy. Na moich małych stópkach znalazły się czarne, błyszczące pantofelki. Wzięłam czarny płaszczyk, bo rano było chłodno. Włosy rozpuściłam.

Miałam już 11 lat, więc sama chodziłam do szkoły. Po drodze zabierałam moją najlepszą przyjaciółkę, Marysię. Złożyłyśmy przecież przysięgę, że będziemy zawsze i wszędzie razem i zawsze będziemy się wspierać. O przyrzeczeniu miały nam przypominać dwa naszyjniki w kształcie połówek serc. Gdy się je połączyło, tworzyły całość.

Marysia była ubrana podobnie do mnie - w białą koszulę i czarną spódniczkę. Nie miała żadnego płaszcza, bo jak twierdziła: „Jest przecież ciepło”. Jej tak zawsze było ciepło. Nawet zimą. Miała uczesane dwa warkoczki. Zawsze w nich chodziła, wręcz je uwielbiała. Jedynym minusem było to, że chłopcy z naszej klasy lubili ją za nie ciągnąć. Raz nawet jednego z takich głupków spoliczkowała i dopiero wtedy wszyscy przestali.

Szkoła nr 65 mieściła się przy ulicy Bartniczej. Przed wejściem spotkałyśmy kolegów z naszej paczki - Wojtka, Antka i Huberta. Od razu pomachali nam na przywitanie, ale weszli do szkoły sami, nie czekając na nas. W szkole nie gadaliśmy za bardzo. Nie było okazji i uważaliśmy, że jak tylko będziemy między sobą rozmawiać, to wszyscy zaczną o nas plotkować.

Poszliśmy do sali numer 4. Tam ustawiliśmy się do zdjęcia. Dziewczyny siedziały na ławkach, a za nami stali chłopcy. Zająłam miejsce obok Marysi. O ironio za nami stali Wojtek i Antek. Niestety, ale Huberta ustawiono na drugim końcu. Antkowi zebrano się na żarty i pociągnął Marysię za warkoczki, a ta w ogóle nie zareagowała. Chyba coś czuła do niego, ale nie chciałam się odzywać, żeby się na mnie nie obraziła. Fotograf był już gotowy, aby zrobić zdjęcie. Poprosił o ciszę i uśmiech. Trzy, dwa i jeden! Zdjęcie zrobione.

Po szkole całą paczką poszliśmy na łąkę. Tam zawsze najlepiej grało się w chowanego, berka i w wiele innych zabaw. Wiedziałam, że muszę uważać, aby nie wpaść w błoto. Moja mama nie byłaby zadowolona. Ten "przywilej" spadł na Huberta. Cały jego piękny czarny garnitur był brudny! Nawet w butach miał błoto. Postanowiliśmy odprowadzić go do domu. Było widać, że mama Huberta łapie się za głowę, a jego tata próbował się nie śmiać i zachować powagę. Na szczęście nie dostał żadnej kary tylko upomnienie.

I tak to chyba u nas wyglądało na co dzień. Zawsze coś się działo, zawsze było wesoło i zawsze byliśmy w piątkę.

Teraz jest to niemożliwe.

Teraz, wiele lat później jestem babcią. Mam już dorosłą córkę i dwoje wnucząt. Pokazuję im moje pamiątki z czasów szkolnych i opowiadam im moje historie. Bardzo je lubią.

– My będziemy mieć zdjęcia klasowe za dwa tygodnie - pochwalił się Bartek.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Babciu, kim jest Sowa? - zapytała Sara i podała mi list. Brzmiał następująco:

Warszawa 20.09.1939 r.

*Kochana Aniu!*

*Piszę do Ciebie ten list, bo jestem ciekawa, co u Ciebie.*

*U nas dalej jest bardzo źle. Niedawno znowu był atak lotniczy.*

Wojna trwa. Nikt się nie cieszy.  
 Mój tata od kilku dni nie daje znaku życia.  
 Obawiam się najgorszego.  
 Dobrze, że jesteś gdzieś indziej.  
 Mam nadzieję, że odpiszesz mi szybko i, że ten list do  
 Ciebie dotrze.

*Twoja Sowa*

*PS Za niedługo też wyjeżdżam, więc być może się zobaczymy.*

Oczywiście wiedziałam, kto to napisał. Była to Marysia. W drugiej połowie wakacji wyjechałam z mamą na wieś. Miałymy wracać pod koniec sierpnia na rozpoczęcie roku szkolnego, ale mama rozchorowała się i zostałyśmy dłużej. Byłam przerażona, gdy dowiedziałam się o ataku Niemców. Myślałam, że moi przyjaciele nie żyją. Dopiero, kiedy dostałam pierwszy list od Marysi, ulżyło mi. Nie podpisywała się swoim imieniem tylko przewiskiem, jak twierdziła - na wszelki wypadek. Przewisko wzięło się od fascynacji sowami oraz dlatego, że była bardzo mądra.

Sowa miała rację i faktycznie dwa tygodnie później przyjechała do sąsiedniej wsi. Z chłopakami nie miałymy kontaktu, bo listy od nich nie dochodziły. Dowiedziałyśmy się o tym dopiero kilka lat później.

– Babciu, jakie piękne pudełko! - Bartek podał mi malutką, drewnianą szkatułkę. Nie otworzył jej, bo chyba wyczuł, że skrywa prawdziwy skarb.

W środku znajdowały się dwa naszyjniki złączone w serce.

– Jeden z nich jest mój, a drugi należał do Marysi - wyjaśniłam i kontynuowałam swoją opowieść.

Z Marysią pisałyśmy do siebie listy. W pewnym momencie wiadomości przestały przychodzić. Moja wyobraźnia podpowiadała mi najgorsze scenariusze. Bałam się, że została porwana lub schwytana. W końcu jej tata był w wojsku. Wszystko mogło się stać.

Pewnej nocy usłyszałam dziwny hałas. Dochodził z ogródka przed naszym domem. Nie chciałam schodzić, więc wyjrzałam przez okno. Myślałam, że to jakieś zwierzę. Jakie było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłam Marysię. Pobiegłam do niej i przytuliłam ją mocno.

– Gdzie ty byłaś? Czemu nie odpisywałaś? Co się stało? - pytałam.

Nic mi nie odpowiedziała. Spuściła wzrok. Wtedy zauważyłam jej brudne, poszarpane ubranie i poranioną twarz. Niebieskie, szczęśliwe oczy zmieniły się w smutne, zmęczone i zapłakane. Długie warkocze były teraz jednym krótkim kucykiem. Bardzo szybko zasnęła.

Następnego dnia mama opatrzyła rany Marysi i zjadłyśmy śniadanie. Bardzo chciałam się dowiedzieć, co działo się z moją przyjaciółką.

– Co się stało? - zaczęłam - Martwię się o ciebie. Proszę, powiedz coś.

– A co mam powiedzieć? - powiedziała drżącym głosem - Chcesz wiedzieć? Moi rodzice nie żyją!

Po tych słowach rozplakała się. Nie chciałam jej skrzywdzić. Próbowałam ją uspokoić.

– No dobrze - wzięła głęboki wdech i zaczęła

– Jedliśmy obiad z rodzicami. Nagle usłyszeliśmy hałas, na podwórku pojawił się niemiecki samochód. Mama kazała iść tacie do schronu za domem. Mnie natomiast posprzątać wszystkie rzeczy, które mogły wskazywać na obecność polskiego żołnierza. Zapukali do drzwi. Przyjęłyśmy ich miło. Wypadłyśmy dobrze, ponieważ obie znamy niemiecki. Jeden z nich kazał jednak przeszukać dom. Nic by nie znaleźli, gdyby nie poszli na dwór... Szukali i... znaleźli - Marysi łamała się głos. - Obie od razu pobiegłyśmy na górę i zamknęłyśmy się w pokoju. Usłyszałyśmy strzał, wyjrzałyśmy przez okno i zobaczyłyśmy tatę. Nigdy tego nie zapomnę.

Mama płakała...Dała mi ubrania i plecak z najpotrzebniejszymi rzeczami. Otworzyła



okno. Pocałowała mnie i kazała uciekać jak najdalej. Obiecałam, że pomszczę tatę i uciekałam. Będąc już w lesie niedaleko naszego domu, usłyszałam krzyk i strzał. Nie mogłam powstrzymać łez. Dalej możesz się domyślać. Przez kilka dni biegłam bez przerwy przed siebie. I mam dla ciebie bardzo ważną wiadomość. Ja im nie daruję! Zamierzam pojechać do Warszawy i tam walczyć. Chcę, abyś tam ze mną pojechała. Potrzebuję cię. Tu chodzi o wszystko. O nas, o twoją rodzinę i o Polskę.

– Wiesz - nie wiedziałam co powiedzieć, byłam jeszcze w szoku po jej historii, a teraz proponowała mi pójście na wojnę - Stawką jest przecież nasze życie! Oszalałaś?! To niebezpieczne.

– Tak, wiem - odpowiedziała mi ze spokojem - wiedziałam, że mi tak odpowiesz. Za 2 dni przyjedzie tu Wojtek z małym wsparciem. Gdybyś była ciekawa Antek i Hubert są już w Warszawie, szykuje się powstanie. Dowiedziałam się o tym niedawno. Zaproponowali mi, abym do nich dołączyła. Masz dwa dni na zastanowienie.

Jaka ona była wtedy zdecydowana ta moja Marysia! Biła od niej niesamowita siła. Przez kilka następnych godzin mocno się zastanawiałam, co zrobić. Przecież moi dziadkowie walczyli na pierwszej wojnie i narażali swoje życie. Doszłam do wniosku, że muszę to zrobić - dla mnie, dla mojej rodziny, dla Polski! Pierwszą osobą, której powiedziałam, była moja mama. Myślałam, że się zeżłości. Zacznie krzyczeć i da mi szlaban, a moją przyjaciółkę wygoni z domu. Ta jednak spojrzała na mnie i zaczęła płakać. Powiedziała, że bardzo przypominam ojca.

Dwa dni później przyjechał po nas Wojtek z trzema innymi chłopakami. Uściskałam go tak mocno, jak tylko mogłam. Czułam szczęście, że go widzę. Przez ten cały czas do mnie pisał, ale jego listy nie dochodziły. Nie chciałam, aby mi się z czegokolwiek tłumaczył. Domyślałam się wszystkiego.

Pożegnałam się z mamą. Płakała.

Dojechaliśmy do Warszawy po kilku godzinach. Musieliśmy być bardzo uważni, bo wszystko mogło się wydarzyć. Gdy już byliśmy na miejscu, nie mogłam poznać mojego miasta. Zamiast budynków były ich szkielety. Wszędzie leżał gruz. Ja i Marysia spałyśmy u ciotki Wojtki na Mokotowie. Przewożyliśmy butelki zapalające i uczyłyśmy się opatrywać rany. W końcu wybuchło powstanie. Ja z Marysią dobrze się spisywałyśmy, rwałyśmy się do walki, więc chłopaki postanowili nam coś załatwić. Udało im się. Mogłyśmy walczyć. Z początku drwiono z nas, bo byłyśmy jednymi z nielicznych kobiet. Później zaczęto nas szanować, bo tu również sobie radziłyśmy. Każdego dnia widziałyśmy śmierć. Ciała wały się na ulicach. Podczas jednego z tych krwistych dni chodziliśmy parami, aby było łatwiej. Przydzielono mnie z Wojtkiem, a Marysię z Antkiem. My poszliśmy pierwsi. Od razu zauważyliśmy, że żołnierzy wroga jest więcej. Tym bardziej zaczęłam się martwić o przyjaciółkę. Dostaliśmy sygnał, aby się wycofać, bo robiło się niebezpiecznie. Wróciliśmy. Nie było jednej pary. Była to Marysia z Antkiem! Moje serce przyspieszyło. Wybiegłam jej szukać, ale kazali mi wracać. Wiedziałam, że to nieodpowiedzialne, ale musiałam. Znalazłam ją w kałuży krwi. Leżała półprzytomna. Ledwo oddychała. Obok leżał Antek. Już nieżywy. Za mną był Wojtek. Próbował zachować spokój, ale łzy leciały mu po policzkach. Dał sygnał, że ich znaleźliśmy. Moja przyjaciółka uśmiechnęła się do mnie. Podała mi swój naszyjnik wyszeptając: „Póki śmierć nas nie rozdzieli”, po czym odwróciła wzrok i umarła. Zaczęłam płakać. Nie mogłam się uspokoić. Usłyszeliśmy, że ktoś idzie. Biegliśmy, co sił w nogach. Wojtek, wasz dziadek, cały czas mnie obejmował. Wtedy właśnie poczułam, że mi na nim zależy.

Moje wnuki wpatrywały się w naszyjnik.

– Babciu... - tylko tyle zdołała powiedzieć Sara. Siedzieliśmy w milczeniu.

Tę ciszę przerwał dzwonek do drzwi. To moja córka przyjechała po Bartka i Sarę, pożegnaliśmy się i wyszli.

Nagle poczułam się słabo. Moje serce zaczęło mnie boleć. Trzymałam naszyjniki szepnęłam: „Marysio. Wojtku. Wkrótce się zobaczymy”. Zamknęłam oczy.

**ANTONI GROCHOWSKI (14 lat)**

Szkoła Podstawowa z OI nr 206 w Warszawie  
opiekun merytoryczny: Anna Niemyjska  
tytuł: „Warszawa pod zaborami”

Był mroźny poranek 25.02.1831. Tomasz (w cywilu student Uniwersytetu Warszawskiego) wziął udział we wszystkich bitwach Powstania Listopadowego, które rozegrały się w okolicach Warszawy. Nie doznał w nich żadnych groźnych obrażeń nie licząc sińców i skaleczeń.

Tym razem też było dobrze. Postrzelili kilku rosyjskich kawalerzystów i kolejny raz ładował broń. W ferworze walki zapomniiał o strachu. Euforia sukcesu, chwilowa nieśmiertelność, przeszacowanie szczęścia i... kiedy wstawał z pozycji klęczącej po nabiciu muszkietu, jeden z kawalerzystów rozciął mu szablą brzuch, a końskie kopyta kolejnego jeźdźca stratowały jego nogi. Bolało jak diabli, ale o dziwo nie zemdlął. Chwilę poleżał zobaczył odjeżdżających kawalerzystów i spróbował dźwignąć się na rękach. W tym momencie został postrzelony w szyję przez jednego z piechurów rosyjskich podążających za jazdą. Na szczęście rana nie była śmiertelna, ponieważ kula ominęła tętnicę. Mimo to pozostał przytomny, aż do załamania ataku wojsk rosyjskich odepchniętych salwami raketników kapitana Skalskiego i szarż 2 Pułku Ułanów z dwoma szwadronami 5 Pułku. Z wieloma innymi rannymi został ewakuowany z pola bitwy i przewieziony do szpitala w Warszawie. Stracił przytomności dopiero w drodze do szpitala. Kiedy się obudził leżał już na pryczy w szpitalnej pościeli. Zaskoczyło go, że w szpitalu obok polskich leżeli również ranni żołnierze rosyjscy. Ranę na brzuchu miał zaszytą, a nogi usztywnione i owinięte bandażami, tak samo jak szyję. W szpitalu leżał kilka następnych tygodni, gdzie długo odpoczywał po tak groźnych obrażeniach. Zauważył, że na początku jego pobytu w szpitalu leków i bandażi było pod dostatkiem, ale z czasem zaczęło ich braknąć, a potrzeby szpitala były coraz większe. Po kilku tygodniach mógł już poruszać głowę w ograniczonym zakresie i zdjęto mu szwy z brzucha, a po kolejnych dwóch uczył się chodzić o kulach. Jeszcze tydzień i został wyprowadzony do domu.

W szpitalu spędził dwa miesiące. W drodze do warszawskiego mieszkania wspierał się laską. Mijał kolumnę Zygmunta i Zamek Królewski. Zatrzymał się popatrzył na panoramę miasta. To już koniec kwietnia, jeszcze trzy dni i święto majowe przyciągnie rozmodlone niewiasty przed kapliczki maryjne w całym kraju. Z tęsknotą pomyślał o kapliczkach w polu na skrzyżowaniach wiejskich drózek nieopodal rodzinnego domu.

Pokój który wynajmował od starszej Pani mieścił się nieopodal Skarpy Wiślanej za rynkiem Nowego Miasta na poddaszu w 2-pietrowej kamienicy. Był to niedawno postawiony budynek. Z jednej strony przerażała go myśl, że teraz kiedy noga nie wróciła jeszcze do sprawności będzie musiał przemierzać te kilometry, a z drugiej strony się cieszył. Tu jeszcze pachniały bzy rosnące przy Wiśle i czuć było świeży powiew od rzeki. Zaraz jednak miał wejść w wąskie uliczki Starego Miasta, gdzie nieczystości płynęły otwartymi kanałami wydzielając smród, który wzrastał wraz z temperaturą i uprzykrzał życie do późnej jesieni. Tymczasem dom starszej pani stał nieco z boku i pozwalał mieszkać z otwartym oknem bez trociczek nasączonych wodą z octem i potpourri, które pozwalały na utrzymanie znośnego zapachu w mieszkaniu. Jak on tęsknił za zapachem pól, łąk i lasów przy rodzinnym folwarku.

Zaraz za Starym Miastem przeszedł na rynek Nowego Miasta. Uśmiechnął się na widok kościoła Św. Kazimierza, ufundowanego w 1683 przez królową Marysienkę w intencji rychłego powrotu jej męża spod Wiednia. Za każdym razem kiedy patrzył na ten kościół wracał myślami do tamtych czasów kiedy Polska była potęgą Europy i potrafiła obronić cały kontynent przed najazdem ze wschodu. Jak słabo wyglądała ojczyzna dzisiaj podzielona między imperia, które jeszcze niedawno broniła swoim orężem.

Jeszcze tylko trzeba przejść obok miejsca po niedawno rozebranych ratuszu. W jatkach rzeźniczych panował ruch jak zwykle i już widział okno swojego pokoju na poddaszu. Na szczęście rodzice odwiedzili wiekową właścicielkę opłacili czynsz za pokój i poinformowali, że syn będąc w majątku upadł z konia podczas przejażdżki, a następnie pojechał do wód by nabrać sił.

Toteż pogodna staruszka nie była zaskoczona utykającym młodzieńcem.

Wrócił i będzie siedział nocami nad książkami a dnie spędzał na uniwersytecie czy na korepetycjach którymi dorabiał. Tomasz studiował pedagogikę na Uniwersytecie Warszawskim. W przyszłości miał wrócić w rodzinne strony i zacząć pracować jako nauczyciel. Wciąż obok zysku korepetycje dawały mu też doświadczenie.

Mijały kolejne dni. Każde pukanie do drzwi, każda dorożka przejeżdżająca pod domem budziła w nim strach przed aresztowaniem. Opowieść o upadku z konia powtarzana wielokrotnie, z czasem nawet jemu zaczynała wydawać się prawdą. Jednak wiedział, że nie walczył sam, a władze carskie aresztują kolejnych uczestników potyczek. Relegowali też kilku profesorów z uniwersytetu.

Pod koniec maja do Tomasza Krupickiego dotarła wiadomość, że duża bitwa pod Ostrołęką przechyliła szalę zwycięstwa na korzyść wojsk carskich. Od tej pory opinia publiczna słyszała o kolejnych przegranych potyczkach. Nadzieja bledła. Wielki wysiłek narodu nie przyniósł zamierzonego efektu. W zamian coraz częściej było słycać o kolejnych represjach i aresztowaniach.

Jesienią kiedy Tomasz rozpoczynał ostatni rok nauki było już wiadomo, że powstanie upadło, a obok lęku przed aresztowaniem martwiły go jeszcze pogłoski o możliwości zamknięcia uczelni przez cara. Postanowił jak najszybciej skończyć co zaczął i wracać dla kraju. Świat stawał się „normalny”. Z jednej strony smutny, przegrany, bez nadziei dla kraju, ale z nadzieją na powrót do domu. W ciągu dnia siedział na uniwersytecie a wieczorami chodził dawać korepetycje. Jeśli pogoda na to pozwalała zaszywał się z innymi na Wzgórzach Denassowskich. Były to tereny nad Wisłą porośnięte trawą i krzakami dającymi nieco intymności i osłaniające od wiatru. Przypominały mu dom, ponieważ miejscami pały się krowy. Teren ten przylegał do terenu uniwersyteckiego. Świeże powietrze od Wisły pozwalało skupić się nad literaturą wywiewając z głowy niebezpieczne myśli oraz odór miasta. Miasto dusiło smrodem nieczystości, rozpraszało harmidrem przechodniów, kupców i dyliżansów. Na wzgórzu były też ruiny zamku księcia de Nassau. Majestatyczne dające schronienie studentom i bezdomnym.

Z jakiegoś powodu Tomasz nie podchodził do murów, które wewnątrz budziły jego niepokój. Nie potrafił tego wytłumaczyć. Przecież chodził czytać na wzgórze więc co zniechęca go do tej konkretnej części posiadłości? Nie wiedział.

14 listopada było już zimno, Tomasz z ulicy Krakowskie Przedmieście wszedł na plac przy Pałacu Kazimierzowskim, gdzie był uniwersytet. Przeszedł dziedzińcem i wyszedł na tył nad Wisłę w kierunku wzgórze i ruin. W połowie drogi miał spotkać kolegę Romana i przekazać mu książkę. Niewinne spotkanie okazało się końcem bezpiecznego życia. W ruinach od jakiegoś czasu spotykali się spiskowcy. Jeszcze nie umilkły echa powstania a kolejne pokolenie młodych radziło jak zdobyć niepodległość. Ktoś zdradził i właśnie policja tego dnia urządziła łapankę. Zgarnęli wszystkich z ruin i innych młodych z całego terenu Wzgórz Denassowskich. Pakowano ich po kilku do dorożek i wywożono do komisariatu, gdzie w drodze przesłuchania postanowiono oddzielić spiskowców od studentów, którzy tylko spacerowali na tyłach uniwersytetu. W sumie każdy Polaczek był podejrzany.

Kilka minut później, (które dla Krupickiego wydawały się być godzinami), powóz parkował przy warszawskich lochach. Kiedy otworzyły się drzwi, Tomasz został wyprowadzony przez policjantów na zewnątrz, gdzie przejęli go inni policjanci, którzy zaprowadzili go schodami na dół, gdzie mieścił się pokój przesłuchań. Pokój przesłuchań urządzony był

bardzo skromnie, ale w przeciwieństwie do cel, utrzymywany w czystości. Mieściły się w nim: nieduże biurko, na którym stała lampa naftowa i dwa krzesła. Wszystkiego dopełniał wiszący na ścianie obraz cara.

– Tomasz Krupicki? - szorstko zapytał policjant.

– Tak.

– Spiskowałeś i nie zdążyłeś nawet dotrzeć do ruin. Złapaliśmy Ciebie przecież przy uniwersytecie.

– Nie, nie spiskowałem!!! Jestem studentem oddawałem pożyczoną książkę .

– To może walczyłeś!!! Gdzie walczyłeś?! Masz świeżą bliznę na szyi.

– Nigdzie.- skłamał

– Kłamstwo!- krzyknął policjant, a drugi mężczyzna wyjął pałkę i zaczął bić.

– Wystarczy.- powiedział pierwszy.

– Gdzie?!

– Pod Wawrem, Białoleką i o Olszynkę Grochowską.

– Na Syberię z nim.

Wyprowadzili go z sali i poprowadził przez korytarz do jednej ze zbiorowych cel. W środku było już kilkoro więźniów, którzy siedzieli na swoich metalowych łózkach a inni na podłodze pod ścianą .

– Cześć jestem Robert, a ty jak masz na imię ?- zapytał jeden z osadzonych w wieku zbliżonym do Tomka.

– Tomasz Krupicki

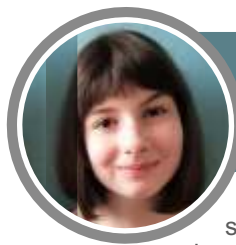
– Wszyscy pojedziemy na Syberię. Teraz nawet nas nie sądzą tak wielu jest aresztowanych. Faktycznie mają coś na Ciebie czy wpadłeś przypadkiem?

– Teraz przypadkiem, ale wcześniej walczyłem w powstaniu i zobaczyli bliznę na szyi.

– Można spytać w jakich bitwach brałeś udział?- zapytał Robert

– Pierwsza była bitwa pod Wawrem. Odbyła się 20 lutego. Zaczęliśmy bardzo skuteczną szarżą, mimo to starcie pozostało nierozstrzygnięte przez brak inicjatywy ze strony generała Chłopickiego. Następnie walczyłem pod Białoleką. Wtedy oddziały feldmarszałka starły się z brygadą generała Małachowskiego. Było bardzo ciężko, ba niektórzy mawiają nawet, że najciężej od początku całej wojny. Na szczęście udało nam się wygrać, ale straty w armii Rosjan jak i u Nas przekroczyły 900 zabitych i rannych. Najbardziej z tej bitwy zapamiętałem starcie na bagnety. Moją ostatnią bitwą była bitwa o Olszynkę Grochowską. Tam zostałem ranny w brzuch, konie wroga stratowały mi nogi i jeszcze jeden z piechurów postrzelił mnie w szyję. Panowie rozmawiali jeszcze długo.

Rankiem następnego dnia obudziły ich krzyki policjantów. Wyprowadzili ich z celi przez korytarz a później po schodach i do powozu. Tomek zrozumiał, że to koniec. Kolejne kilkanaście lat spędzi na Syberii i jeśli kiedyś wróci, jeśli wróci to jego życie już nigdy nie będzie takie samo. Powóz mknął ulicami Warszawy skazańcy słyszeli charakterystyczny dźwięk przejazdu przez most żyłwowy na Wiśle i wiedzieli, że dojeżdżają na Dworzec Wileński. Zaraz przeniosą ich do wagonów i koniec. W tym momencie poniosło konia, który zaprzężony był do powozu policyjnego. Pojazd uderzył bokiem w kolejny jadący z przeciwka i przewrócił się na bok. Korzystając z zamieszania więźniowie uciekli przez uszkodzone drzwi, a Tomek zrozumiał że los kolejny raz dał mu szansę. Pozostało już wrócić do rodziców, a później przedostać się do wuja, do Francji.


**DOMINIKA GARBAL (13 lat)**

Szkoła Podstawowa nr 107 w Warszawie  
opiekun merytoryczny: Ewelina Adamczyk  
tytuł: „Czekoladowe marzenia”

Pewnego zimowego dnia 1845 roku czteroletni Emil Wedel jechał ze swoim ojcem dyliżansem z Berlina do Warszawy. Nie mogli podróżować inaczej, bo droga żelazna dopiero powstawała. Ojciec Emila, Carl Wedel, przeprowadzał się do stolicy dawnego państwa polskiego, a obecnie części carskiej Rosji, żeby prowadzić sklep cukierniczy.

To była bardzo długa i nieprzyjemna podróż. Dyliżans był pełny „jak jajko”, jak mówił woźnica: wszystkie sześć miejsc było zajętych, z czego jedno okupował wesoły jegomość przy kości, który przez większość czasu jadł. Nie wszystkie kufry i pakunki zmieściły się na dachu, niektóre bagaże pasażerowie musieli trzymać między nogami. Było bardzo ciasno i zimno, podróż była męcząca. Co kilkanaście mil musieli zmieniać konie, zmęczone mrozem i ciągnięciem ciężkiego dyliżansu. Między Poznaniem i Kaliszem przekroczyli granicę Królestwa Prus i wjechali na ziemie rosyjskiego cara.

Po pięciu dniach podróży rozległy się trąbki i woźnica krzyknął: „Warszawa!”. Chłopiec zobaczył dwie małe budowle przypominające duże sześciany i coś na kształt piramid na ich dachach. Były to miejskie rogatki na Woli, gdzie płaciło się celnikowi, aby móc wjechać do miasta. Emil dowiedział się tego, gdy jego ojciec zapłacił na rogatkach podatek - obok zaś chłop pędził do miasta krowy i płacił „kopytkowe”, jak nazywano tę opłatę.

Dalej dyliżans potoczył się ulicą Wolską i Chłodną. W oddali było widać malowniczo wyglądający ośnieżony Ogród Saski. Konary drzew uginały się od śniegu. Ich pnie były ciemne.

„Diese Bäume sehen sehr düster aus“<sup>41</sup> - pomyślał Emil. Chwilę potem dyliżans się zatrzymał. Chłopiec spojrzał pytająco na ojca.

– Wygląda na to, że ugrzęźliśmy w zaspie. Musimy wyjść i pomóc woźnicy nas odkopać – powiedział ojciec.

Odkopywanie trwało około pół godziny, ponieważ była to duża zaspą. Mieli na szczęście trzy łopaty, a Emil pomagał jak mógł. Jednak ze względu na to, że chłopiec był jeszcze mały, większość pracy wykonali woźnica i Carl Wedel. Było to bardzo męczące.

Po przymusowym postoju wrócili do dyliżansu przemoknięci. Ale i tak najgorzej miał woźnica, który musiał nadal powozić...

Jechali teraz ulicą Gnojną - gdyby chłopiec umiał czytać, na pewno zastanawiałby się, skąd ta nazwa... Emil wyglądał zaciekawiony przez okno dyliżansu, co nie było trudne, ponieważ był mały, więc kufry i inne rzeczy nie zasłoniły mu widoku. A było na co patrzeć! Jechali malowniczymi ulicami, które w śniegu wyglądały jeszcze piękniej, wręcz mistycznie. Jadąc, Emil zastanawiał się, jakie słodycze mają w Warszawie, ponieważ, jak każde dziecko, uwielbiał słodkości, a jego ojciec był przecież cukiernikiem.

Dyliżans toczył się ulicą Senatorską między Teatrem Wielkim i miejskim ratuszem, skąd rządzone miastem. Emil zobaczył elegancko ubranych ludzi w cylindrach, którzy szli w stronę teatru. Pewnie wystawiano tam bardzo ciekawe sztuki. Chłopiec bardzo chciał zobaczyć chociaż jedną.

Pojazd zaczął zwalniać - dojechali. Dyliżans zatrzymał się na Krakowskim Przedmieściu, obok Poczty Saskiej. Padał śnieg. Było go bardzo dużo i sypał bardzo gęsto. Emil, choć wciąż przemoczony, był zachwycony wirującymi płatkami, ale pomagał też ojcu wynosić kufry i tobołki, z którymi szli i szli, a śnieg padał i padał. Obok poczty znajdował się Hotel Angielski, gdzie udało im się dostać pokój, i to ten sam, w którym - jak się potem dowiedzieli - nocował kiedyś sam Napoleon. Tam właśnie mieli osiąść na jakiś czas - przynajmniej dopóty, dopóki nie będą mieli wystarczająco dużo pieniędzy na własny dom.

Obsługa mówiła w nim głównie po francusku, ale także po niemiecku, więc mały Emil Wedel wszystko rozumiał. Bardzo mu się to podobało, chociaż wiedział, że prędzej czy później będzie musiał się nauczyć innego języka, by więcej rozumieć. Jednak na razie nie było to konieczne, ponieważ rozmawiał tylko z ojcem, który przecież znał język niemiecki. Sam hotel był bardzo piękny – monumentalny, przestronny, a w pokoju Wedłów wszystko się zmieściło! Emil, który bardzo lubił słodczyce, zapytał:

– Vater, gibt es in Warschau auch Schokolade? Wie in Berlin?<sup>2</sup> - nie zauważył bowiem po drodze żadnego sklepu z tymi łakociami. Jego ojciec się uśmiechnął i zażartował:

– Vielleicht verkaufen Sie es selbst!<sup>3</sup>

Emil miał więc nadzieję, że tata będzie sprzedawać w Warszawie czekoladę, choć w swojej berlińskiej cukierni Carl Wedel sprzedawał syropy i cukierki na kaszel. Rozpakowali się, a mały Emil już musiał iść spać, ponieważ było bardzo późno. Jego ojciec krzątał się jeszcze chwilę, po czym sam również zasnął.

Młodemu chłopcu tymczasem śniła się smakowita czekolada. Wyobrażał sobie całą Warszawę: Ogród Saski, ratusz, ulicę Senatorską - wszystko zrobione z czekolady. Chłopiec obliżywał się przez sen. Wszystko wyglądało przepysznie. Najładniej prezentowały się drzewa, które wcześniej nazwał ponurymi. Mimo wszystko, były jak żywe! Widział swój hotel, który wyglądał bardzo okazale, nawet zrobiony z czekolady. Ale według małego Emila Wedla wszystko zrobione z czekolady wyglądało pięknie i okazale.

Lata mijaly, mijaly i mijaly, a Carl Wedel wciąż sprzedawał tylko nieciekawe i niezbyt smaczne sucharki i cukierki na kaszel. Emil był tym bardzo znudzony - marzył, żeby jego ojciec sprzedawał czekoladę. Mógłby być wtedy testerem smaku! Na samą myśl o czekoladzie Emilowi ślinka ciekła. Naprawdę chłopcu bardzo na tym zależało. Często więc przypominał ojcu o zaletach sprzedawania tych pyszności. Mówił, że czekolada jest przecież bardzo smaczna, bardzo pożywna oraz, że z lekko rozgrzanej można lepić różne rzeczy, np. kulki lub miniaturowe rzeźby. Jednak ojciec sprzeciwiał się, mówiąc, że czekolada jest za droga i nikt w biednej Warszawie, przynajmniej na razie, nie miałby na nią pieniędzy, zaś sama jej obróbka, sprowadzanie orzechów kakaowca i budowanie tej całej manufaktury pochłonęłoby ogromne środki pieniężne, i wcale nie wiadomo, czy to by się zwróciło.

Coraz starszy Emil ciągle się nie poddawał. Nie był już czterolatkiem, ale nadal uwielbiał czekoladę. Nadal po nocach mu się śniła. Ciągle o niej myślał i zastanawiał się, jak przekonać ojca, by ją sprzedawał. Postanowił pospacerować po Warszawie, ponieważ spacerowanie pomagały mu myśleć. Na to jego ojciec się zgodził, ale zabronił Emilowi bardzo się oddalać. Chłopak wyszedł z domu i wyszedł po chwili z ulicy Miodowej, dokąd jakiś czas temu się przeprowadzili, gdy mieli już wystarczająco dużo pieniędzy na kupno domu.

Poszedł do Ogrodu Saskiego. Drzewa, które jako czterolatek uznał za ponure, teraz wydawały mu się piękne, zielone i wesołe. Były też pełne kwiatów. „W ziemie były bardziej ponure” - pomyślał. Ale czego się spodziewać po drzewach liściastych w ziemie? Nie mają przecież wtedy liści. Emil jednak ciągle sobie wyobrażał, że w końcu ojciec się zgodzi na wyrób czekolady. Widział Pałac Saski. Wpatrywał się w ten okazały budynek z dużą ilością kolumn. Był on ogromny i cały pomalowany na biało. Emil dostrzegł też niedaleko niego pomnik generałów zabitych przez podchorążych podczas powstania listopadowego. Polacy nazywali go pomnikiem zdrajców, ponieważ upamiętnieni na nim generałowie nie poparli powstania, które mogło uwolnić Polskę ze szponów Rosji. Niestety, starsi generałowie nie zgodzili się na powstanie, ponieważ byli wierni carskiej Rosji, czyli popierali zaborcę. Emil pomyślał, że pomnik wygląda jak jakiś obelisk. Spodziewał się, że będą tam rzeźby tych generałów: to wydawało się przecież logiczne. Odpłynął myślami. Nie robił tego, po co tu przyszedł. Ale w pewnym momencie wpadł na bardzo interesujący i nowatorski pomysł! „Moglibyśmy robić wspaniałe czekoladowe rzeźby!” - pomyślał. Wstał jak rażony piorunem. W końcu miał kolejny argument. Z tego, co wiedział, na rzeźbach można bardzo dużo zarobić. A co dopiero na czekoladowych!

Chłopak zaczął snuć wizję przyszłości, jeśli ojciec się zgodzi na wyrób czekolady. „Jeśli”? Kiedy! Szedł w stronę ulicy Miodowej, postanowił jednak odrobinę wydłużyć swój spacer, ponieważ bardzo lubił chodzić po tej pięknej Warszawie. W pewnej chwili zobaczył, jak młody chłopak w rozchełstanej koszuli goni kwiczącą świnię, która pewnie uciekła z jakiejś kamienicy. Emil zaśmiał się wesoło oraz głośno, a później zaszedł do pobliskiego składu papierniczego, potrzebował bowiem szkicownika i ołówków, by narysować projekty czekoladowych rzeźb. Już myślał o wielu rzeczach, które jego zdaniem zasługiwały na wyrzeźbienie ich w czekoladzie. Dumał, że jak wróci do domu, jego ojciec będzie przezszcześnieśliwy. Już układał sobie w głowie, co dokładnie powie ojcu, by go przekonać. Gdy wrócił do domu, powiedział ojcu o swoim pomysle.

I teraz, po latach, Carl Wedel dał się wreszcie przekonać. Powiedział, że czasy się zmieniły i już mogą produkować czekoladę, a rzeźby będą dobrą reklamą na wystawie powszechnej w Wiedniu. Ojciec postanowił, że Emil pojedzie do fabryki we Francji, by nauczyć się, jak wyrabiać bardzo smaczną czekoladę. Chłopak wyjechał więc do Paryża, by uczyć się sekretów przygotowywania tych pyszności: uczył się pilnie i w końcu umiał samodzielnie wyrabiać najpyszniejsze czekoladki i czekoladę w Europie. Gdy wrócił, przekazał swoją wiedzę ojcu i kilku czeladnikom, żeby oni też zaczęli sprzedawać czekoladę i mogli rozpocząć prace nad ich pierwszymi rzeźbami.

Marzenie chłopaka się spełniło, a gdy dorósł, sam zaczął sprzedawać czekoladę w firmie ojca. Bardzo mu się to podobało. Po pewnym czasie zaoszczędził tyle pieniędzy, by móc wybudować własną fabrykę czekolady. Planował tam produkować nie tylko tabliczki czekolady, ale także inne rzeczy - jak na przykład pralinki. Otworzył też wiele kawiarenek, w których sprzedawano gorącą czekoladę do picia, czekoladowe ciasta, ciasteczka i inne smakołyki. Był bardzo dumny ze swoich osiągnięć. Wielokrotnie bowiem zapraszano go na różne wystawy, podczas których pokazywano jego rzeźby czekoladowe, takie jak olbrzymie jaja, pełne detali dzieła architektoniczne, misternie ułożone włosy na czekoladowych rzeźbach, które wyglądały jak żywe. Przekonał się, że warto mieć marzenia i wytrwale dążyć do ich spełnienia.

## Przypisy

<sup>1.</sup> „Te drzewa wyglądają bardzo ponuro.” (niemiecki)

<sup>2.</sup> „Ojczy, czy w Warszawie też jest czekolada? Jak w Berlinie?” (niemiecki)

<sup>3.</sup> „Może sam ją będziesz kiedyś sprzedawał!” (niemiecki)


**WIKTORIA MARCHWACKA (12 lat)**

Szkoła Podstawowa z OI nr 342 w Warszawie  
 opiekun merytoryczny: Magdalena Łatkowska  
 tytuł: „Pomyśl życzenie”

Pewnego dnia w malutkim miasteczku w Polsce, urodził się chłopiec. Z początku wydawało się, że jest normalnym niemowlaczkiem, ale jak trochę podrośł, stało się coś niezwykłego.

Gdy Marcel (bo tak miał na imię ten chłopczyk) skończył 9 lat, pierwszy raz wykazał swoją niezwykłą moc - gdy tylko pomyślał swoje życzenie przed zdmuchnięciem świeczek, nagle zniknął. Wśród zaproszonych na przyjęcie usłyszeć można było tylko przerażającą ciszę oraz płacz kuzyna Marcelka. Po pewnym czasie mama bohatera wyprosiła wszystkich gości z domu i zaczęła go szukać. Niestety nie udało jej się znaleźć syna. Marcelek w czasie kiedy wszyscy go szukali był w Warszawie, jednak nie w 2007, tylko dużo wcześniej, bo w 1792 roku. Na początku wiedział tylko to, że jest w przepięknym miejscu, gdzieś w oddali widział ludzi, którzy śmiesznie się zachowywali. Podszedł trochę bliżej i zorientował się, że jest to teatr. Usiadł sobie na trawce i zaczął oglądać to wspaniałe przedstawienie. Po niedługim czasie przestał rozumieć to o czym mówią aktorzy, więc zasnął. Kiedy tak sobie spał, nagle podszedł do niego jakiś pan. Miał białą perukę i fascynujący strój. Była to niebieska koszula z bufiastymi rękawami, przepasana złotą szarfą oraz długie czerwone spodnie. Zauważywszy to Marcel zapytał:

– Kim pan jest?

– Oho, chyba jeszcze dużo nie wiesz mały - odrzekł zapytany, uśmiechając się. - Ja jestem królem Polski, a nazywam się Stanisław August Poniatowski - odpowiedział.

– Jaaacie... - przetaił oczy chłopiec i zaczął mówić dalej - A gdzie ja jestem Wasza Wysokość?

– Młody słuchaj, jesteś w Łazienkach Królewskich w Warszawie - odrzekł król.

– Jak to się stało...? przecież ja o tym myślałem w moim życzeniu urodzinowym! - wykrzyknął bohater.

– Nie mam pojęcia, ale bardzo dobrze, że jesteś, ponieważ w końcu się czegoś ciekawego dowiesz - odrzekł król Stanisław.

Po tej rozmowie król zabrał Marcela na spacer po łaźniach, oprowadzając i bardzo dokładnie wszystko tłumacząc. Chłopiec bardzo uważnie słuchał z otwartą buzią. Gdy doszli do pałacu, weszli tam. Król opowiadał nastolatkowi o obiadach czwartkowych.

– Co czwartek spotykam się przy obiedzie z mądrymi ludźmi. Uwielbiam rozmawiać z nimi, słuchać o ich pomysłach, osiągnięciach i ciężkiej pracy, dzięki której dążą do wymierzonego sobie celu. Ostatnio spotkałem się między innymi z Ignacym Krasickim, jest poetą oraz biskupem. Opowiadał mi on o dziełach literackich. Ważne w czasie tych rozmów jest to, że nie mogą uczestniczyć w nich kobiety - opowiedział - Masz jakieś pytanie odnośnie tego wydarzenia? - zapytał.

– Tak, mam pytanie, jak one się kończą, może... hmm... może Król mówi po prostu, że kończy spotkanie? - zapytał młody.

– Nie, nie - to jest tak: przychodzi kelner i na srebrnej tacy przynosi dwie śliwki. W tym momencie wszyscy goście zebrani na spotkaniu widzą, że czas kończyć nasze pogaduszki - zaśmiał się panujący.

Przeszli dalej i bohater przypomniał sobie o trzecim maja.

– Wasza Królewska Mość, a jak to wyglądało z Konstytucją Trzeciego Maja? - spytał - Była to łatwa, a może trudna sprawa? - dodał.

Kiedy malec spytał król był bardzo radosny.

– Dlaczego Szanowny Pan się śmieje? - zapytał zaniepokojony Marcel.



– Oj kochaniutki, niezmiernie się cieszę, że pytasz! - wykrzyknął - Wiesz, wyglądało to bardzo ciężko. Ale udało się! Jak sam powiedziałeś, ustanowiliśmy Konstytucję Trzeciego Maja. Od tamtej pory zniesiono na przykład liberum veto - zaczął opowiadać.

– A czym było to liberum veto? - dopytał chłopczyk.

– Mówiąc liberum veto, można było zerwać każdą ustawę. Czasami była to dobra, a czasami zła ustawa. W dniu uchwalenia Konstytucji Trzeciego Maja przestała istnieć Rzeczpospolita Obojga Narodów, a w jej miejsce została powołana Rzeczpospolita Polska.

– Wow! - krzyknął zafascynowany.

Tak chodzili i rozmawiali sobie na okrągło do wieczora, aż król zorientował się, że chłopiec jest bez rodziców. Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę, ponieważ był tak zainteresowany rozmowami. Więc zapytał zmartwiony:

– Dlaczego nie ma z tobą rodziców?

– Yyyy... no bo... no było to bardzo dziwne, nigdy tak się nie zdarzyło - odparł.

– Co takiego? - powiedział zdziwiony.

– Po prostu była moja urodzinowa impreza. Jak chyba na każdej tego typu imprezie, było bardzo dużo zabawy. Piliśmy Picoło, jedząc chrupki.

– Jakie Picoło, co to właściwie jest? - zdziwił się.

– To Król nie wie? - dopytał nastolatek.

– Nie mam pojęcia czym to może być. Ty miałeś urodziny w 1792 czy w 2000 roku? - dookończył pytając.

– W 2007 roku miałem dziewiąte urodziny, a dlaczego Król pyta? - powiedział.

– Pytam, gdyż nie jesteś w tym roku, w którym masz urodziny, a wiele lat wcześniej - wypowiedział się.

– Przecież nie dość, że przeniosłem się w miejsce, o którym myślałem, to jeszcze jestem tu wiele lat wcześniej! - odrzekł wykrzykując - Jak ja mam wrócić do domu, do mamy, do taty? - wykrzyknął zrozpaczony 9-latek!

– Hmm, myślę, że najlepszym pomysłem będzie jak zrobisz dokładnie to samo, co zrobiłeś przed pojawieniem się w tym miejscu, w tym roku - powiedział roztrzęsiony władca.

– Spróbuję! - zakrzyczał Marcel.

Chłopiec pomyślał o przyjeździe do domu, do 2007 roku. Tak jak pomyślał, tak się stało. Zjawił się w domu. Od razu, gdy zobaczył swoich rodziców, pobiegł prosto w ich ramiona. Rodzice ucałowali chłopca i od razu zaczęli dopytywać gdzie był, czy nic mu się nie stało lub nic go nie boli.

– Nic mi się nie stało. Zaraz wam wszystko opowiem - powiedział.

– A więc, na początku zobaczyłem ludzi w bardzo dziwnych strojach. Podszedłem bliżej i okazało się, że są to aktorzy, ale nie grali oni w zwykłym teatrze, bo to był teatr na wodzie - opowiadał.

– Jak to na wodzie? - zapytał tata.

– No po prostu, na wodzie, było to w Warszawie w Łazienkach Królewskich.

– Co ty zrobiłeś, że nagle znalazłeś się w Warszawie? - zapytała mama.

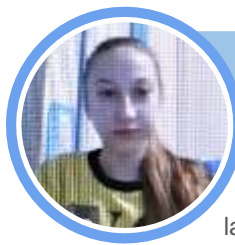
– Chyba mam taką moc. Jestem nadzwyczajny - wystarczy, że pomyślę o miejscu, w którym chcę być i od razu tam się znajduję - odpowiedział.

– Niesamowite, nasz syn posiada takie moce - zaśmiali się rodzice - to może spróbujemy złapać się za ręce i znowu pomyślisz o tym, by pojechać tam gdzie byłeś? - zapytała mama.

– Tak, tak zróbmy! Najlepiej będzie jak przeżyjecie to co ja - mówił chłopiec.

Więc cała rodzinka złapała się za ręce i znalazła się w tym przepięknym miejscu.

Król bardzo ucieszył się na widok chłopca i jego rodziców. Cieszył się, że chłopak mógł wrócić do swojej rodziny. Marcel odkąd dowiedział się o swojej mocy, mógł jeździć z rodziną na wakacje, kiedy tylko chciał. Wszyscy żyli teraz spokojnie i szczęśliwie.

**OLGA TYMIŃSKA (11 lat)**

Szkoła Podstawowa nr 378 w Warszawie  
opiekun merytoryczny: Bogumiła Stefańska  
tytuł: „Nie pozwolę jej umrzeć ostatniej!”

Byłam zdecydowanie nieprzygotowana, aby to przeżyć. Miałam osiem lat. Mawiano jednak, że większość zupełnie dorosłych ludzi nie było przygotowanych.

Kiedy skończyłam pierwszą klasę szkoły podstawowej, cieszyłam się jak nigdy, bo nadeszły wakacje. Bardzo zmęczyłam się ciągłą nauką. Razem z moją starszą siostrą, Hanią biegałam po łąkach i zbierałam polne kwiaty. Hania, tak jak ja, miała jasne włosy i była bardzo wysoka. Uważałam ją za autorytet. Nie znałam inteligentniejszej dziewczyny. Siostra traktowała mnie jak swoje dziecko. Nic dziwnego, była aż jedenaście lat starsza ode mnie.

– Wiesz, Marysiu - powiedziała do mnie pewnego, upalnego dnia - rodzice mówią, że będzie wojna.

Niedowierzenie. Tak, jak gdyby nigdy nic? Będzie wojna?

Czy to rozumiałam? Czy wiedziałam, co właśnie zakomunikowała mi siostra? Chyba nie do końca. Aż do chwili, gdy z naszego podwórka ujrzałam płonąca wieżę Zamku Królewskiego. Od tamtego momentu wojna przestała istnieć tylko w książkach i w głowach chłopców, którzy uwielbiali udawać dzielnych i niewyciężonych żołnierzy. Ludzie biegali wokół, ktoś wynosił z zamku jakieś skrzynie, a ja patrzyłam zamyślona w tarczę zamkowego zegara. Nie mogłam się ruszyć, świat jakby stanął w miejscu. Znieruchomiełe, palące się wskazówki pokazywały godzinę 11.15. Wojna aż do teraz kojarzyła mi się z tą nieszczęsną godziną... Przez cały wrzesień miasto broniło się przed atakiem Niemców. Gdy nie wyły syreny i nie trzeba było zbiegać do piwnic, słuchaliśmy z mamą radiowych przemówień prezydenta Starzyńskiego. Bardzo pięknie przemawiał, mobilizował, dawał otuchy, gdy na miasto spadały niemieckie pociski.

A tak niedawno organizował konkurs „Warszawa w kwiatkach i zieleni”. Każdy warszawiak słyszał o tej inicjatywie prezydenta Starzyńskiego. A my w domu szczególnie, bo przed wojną do mamy zachodziła koleżanka, która zdobyła kiedyś laury za pięknie ukwiecony balkon przy ul. Kapucyńskiej 13. Mama mi to teraz przypominała, gdy zatroskana nieruchomo wpatrywała się w odbiornik i wsłuchiwała się w głos prezydenta. Do dziś rozbrzmiewają w mojej głowie jego słowa: „Chciałem by Warszawa była wielka. I jest wielka”. Wtedy, przy radiowym odbiorniku, zrozumiałam, że nie ma już mojego dzieciennego i beztroskiego świata wypełnionego zabawą... Teraz znalazłam się w świecie okrutnej wojny. Szczęśliwy czas się zatrzymał, jak tam na zegarowej wieży zamkowej. Odczuwałam to, gdy w okupowanym mieście mama nie miała pracy i często cierpiealiśmy głód; gdy nie było znaku od taty, który wraz z 1 września poszedł na wojnę i wreszcie, gdy nastąpił 1 sierpnia 1944...

Jeśli moje dziecienne serce wyobrażało sobie jeszcze choć trochę, że żyje w świecie bez grozy, to tego dnia wojna znów do niego zapukała...

\*

Hanka nerwowo spakowała kilka rzeczy do chlebaka. Ubrana w spódniczkę i cienką bluzeczkę zaraz rzuci się w wir powstania. Przed drzwiami odwróciła się na chwilę. Spojrzałam na nią i krótko skinęłyśmy głowami. To, o czym ludzie mówili przez ostatnie kilka miesięcy było prawdą. Wybuchło powstanie.

Z dała słychać było terkot karabinu. Już się zaczęło. Wtedy zerknęłam na zegar, który stał na oszklonym kredensie i właśnie wybił kolejną godzinę grozy mojego dzieciństwa - godzinę 17 - tą.

– Uważaj na siebie! - krzyknęła krótko i rozpaczliwie Mama. Jej ręka zawisła w powietrzu, gdy drzwi mieszkania zatrzasnęły się za Hanką. Jeszcze tupot jej szybkich kroków na schodach i znów daleka kanonada. To chyba na Placu Napoleona...

Dopiero teraz mocno i z całym okrucieństwem dotarło do mnie słowo "wojna". Hanka odeszła. Może na zawsze? Tak jak tata, który poszedł walczyć w 1939.

Wybiegłam na podwórze i pomachałam za siostrą. Tak zaczęło się dla nas powstanie. Dni zlały się w jeden ciąg grozy i strachu. Aż pewnego dnia, wracając do jeszcze stojącego domu spojrzalam na kalendarz i wyrwałam kartkę. Były imieniny wujka Hipolita! 13 sierpnia.

Na dole usłyszałam rozentuzjasmowane głosy. Wyjrzałam za okno i aż pufnęłam ze zdziwienia, gdy daleko na podwórzu ujrzałam wesoły pochód. Chłopcy prowadzili mały pancerny pojazd za barykadę na ul. Kilińskiego... To była niemiecka zdobycz! Już się cieszyłam razem z nimi, przecież mieliśmy więcej broni! A przecież wszyscy to wiedzą, im więcej broni, tym większe szanse na wygraną! Wpatrując się w lśniącą blachę pokrywającą pojazd niespodziewanie ujrzałam dym. Nie wiem, skąd on pochodził, przecież jeszcze kilka sekund temu był wszystko w porządku... W ułamek sekundy potem usłyszałam potworny huk. Jego siła była tak potężna, że aż odrzuciło mnie pod ścianę. Zrozumiałam dopiero po chwili. To był pojazd - pułapka podłożony przez wroga!

\*

8 września Niemcy dali pozwolenie na opuszczenie miasta przez ludność cywilną. Sam pomyślił to pół biedy, ale mama postanowiła go wykorzystać! Byłam tą perspektywą przerażona, bo za żadne skarby z własnej woli nie opuściłabym Warszawy. Mama jednak była bardzo uparta i nawet nie chciała słyszeć o zmianie zdania.

– Chyba mnie rozumiesz? Wiesz przecież, że pozostanie w Warszawie w tak trudnych czasach jest bardzo ryzykowne? - tłumaczyła.

Tak więc szybko spakowałyśmy resztki zapasów żywności i wyszłyśmy na podwórze.

Cywiłe szli nieśmiało w kierunku Placu Teatralnego. Ostrożnie do nich dołączyłyśmy. Byli przestraszeni, brudni i zmęczeni. W dodatku co chwila słychać było huki bomb i terkot pistoletów. Przy linii horyzontu jakiś budynek niął w gęstym dymie. Te obrazki zdecydowanie nie pasowały do mojej wizji idealnego dzieciństwa.

Pomyślałam, że Polacy to bardzo waleczny naród. Tak było. Ale wśród nich Warszawiacy byli aż nad wyraz waleczni... Rzucili się do nierównej walki. Praktycznie nieuzbrojeni szli z granatami i butelkami z benzyną na niemieckie czołgi. Gdy tak szłam obok Pałaca Blanka przypomniał mi się nasz sąsiad, Pan Korzecki, który poszedł do powstania uzbrojony w miotacz ognia zrobiony z ogrodowego zraszacza! I co? Wszystko to na nic?

\*

Poza miastem obudziłam się na czyjejs furmance. Mamie udało się „zawieruszyć” z kolumny cywilów, pędzonych przez Niemców. Wokoło nas rozciągały się rozległe pola i lasy. Podążałyśmy do znajomych, którzy mieszkali z dala od Warszawy, gdzie, miałyśmy nadzieję, znajdziemy bezpieczną przystań. Jednak nie byłam z tego powodu szczęśliwa. Dlaczego? Nie mogłyśmy wrócić do Warszawy, która właśnie teraz tak bardzo nas potrzebowała! Ta myśl wywołała ukłucie w moim sercu. Czy ucieczka z Mojego Miasta oznacza nielojalność wobec Warszawy i walczących? Czy ucieczka z Warszawy w kryzysie oznacza zdradę? Jeśli kochałam Warszawę, to czy nie powinnam się dla niej poświęcić? Tam została też Hanka!

– Mysiu - rzekła mama, widząc moje zaszklone oczy - Wiesz dobrze, nie możemy się stracić.

– Czytasz mi w myślach? - odparłam nieco zdziwiona, odrywając się od moich rozważań.

– Po prostu wiem, co dziewczynka w twoim wieku mogłaby czuć w czasie okrutnej wojny.

– Och, mamo! - wybuchłam nagle, nawet sama byłam zdziwiona - Warszawa nas potrzebuje! Jeśli ją zawiedziemy - zniżyłam głos do szeptu - jeśli ją zawiedziemy... Jeśli zawiedziemy... to... to... nie będziemy godnie nazywać się Warszawiankami!

- Cóż podobnego! - obruszyła się mama - Nie walczysz i już! Żadne dziecko w twoim wieku nie mogłoby nic zrobić!
  - A właśnie, że mogłabym! - odpowiedziałam, obracając głowę w inną stronę - Mogłabym pracować jako sanitariuszka, albo łączniczka...
  - Dostyć! - krzyknęła mama, ale w porę się zreflektowała - Nie myśl sobie, że będę cię tak narażać! Zapomnij!
  - Ale... mam... wszystkie dzieciaki w moim wieku angażują się w Powstanie!
  - Ty nie jesteś „wszyscy” - odparła mama, kończąc dyskusję.
- Przecież byłam już duża. Chciałam być jak Hanka... zostać w Warszawie. Ale właśnie dotarliśmy do nieznanego mi wioski, gdzie mieszkali nasi znajomi.

\*

Wróciłam dopiero w 1945 roku, kiedy to Warszawa została już wyzwolona. Rok rozłąki z Warszawą, którą tak kochałam! Po powrocie zrozumiałam jedno. To nie była Warszawa! To były ruiny Warszawy. Moje ukochane miasto upadło. Miasto, w którym się urodziłam. Miasto, z którym wiązę tak wiele wspomnień! Miasto, które w tym momencie było zupełnie obce. Miasto, w którym zaczęłam wspaniały czas edukacji.

Właśnie szłam przez bezkresne morze ruin i gruzów. Wokoło widać było krzyże... Na placzkach i skwerach, gdzie przed wojną bawiła się warszawska dzieciarnia, a ja wśród niej. Krzyże. Biedne, samotne, choć tyle ich było. Usypane naprędce powstańcze mogiły... Podchodząc pod Stare Miasto, wypatrywałam na próżno mego domu, gdy dotarł do mnie przerażający widok. Kolumna Zygmunta leżała na ziemi! Upadły król - pomyślałam - To upadła Warszawa.

Podeszłam bliżej roztrzaskanej kolumny. Stała przed nią starsza pani. Obie nieruchomo wpatrywaliśmy się w oblicze, leżącego na bruku króla Zygmunta... Nagle usłyszałam jej słowa... Jakże dziwne wśród tego morza ruin, powalonego na bruk króla i zięjącego pustką miejsca po Zamku Królewskim,

– Trzeba żyć! - wyrzekła.

Później okazało się, że kobieta to Pani Majchrzakowa. Tak jak ja i mama oraz wielu powracających Warszawiaków, zamieszkała w zrujnowanej kamienicy. Na ulicy Piwnej, nieopodal Placu Zamkowego dokarmiała gołębie! Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy i często rozmawiałyśmy. A ona snuła opowieści z dawnych dziejów. Pomagałam jej w karmieniu naszych skrzydlatych przyjaciół. Choć sama bywała głodna, niestrudzenie dbała o te swoje, o te nasze! Warszawskie gołębie! Wszystko wokół było martwe, a gołębie Babci Majchrzakowej (bo tak ją wkrótce zaczęłam nazywać) niestrudzenie i wesoło przyfruwały na Stare Miasto i zaczęły przywracać nam życie...

\*

Pewnego dnia szłam wyżłobioną w ruinach ścieżką, gdy na horyzoncie pojawiła się młoda dziewczyna. Była zmęczona i brudna, ale na jej twarzy malował się szeroki uśmiech. Bo ona już wiedziała, kogo widzi wśród gruzów...

– Hanka! - zawołałam. Z pobliskich ruin, wzbity się w górę przestraszone mym krzykiem gołębie.

Słowa Babci Majchrzakowej, że trzeba żyć nabrały teraz sensu. Mimo trudnych czasów trzeba znaleźć nadzieję. Gołębie, Hanka, mama w przyziemiu naszego zrujnowanego domu, król Zygmunt choć powalony na bruk... Trzeba żyć...


**MARTA FALKOWSKA (13 lat)**

 Szkoła Podstawowa nr 175 w Warszawie  
 opiekun merytoryczny: Ewa Ciosek

Czekałam w ciężarówce na Zośkę i Alka cała zestresowana. Ręce mi się trzęsły, a po plecach przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. W duchu modliłam się, aby ujrzeć jeszcze Rudego. Przez te trzy ostatnie dni pragnęłam tylko zobaczyć jego uśmiech, który zawsze towarzyszył mu podczas służb.

Pamiętam jak wysłano mnie z Jankiem, aby na czerwonych ceglach koszar lotniczych na ulicy Rakowieckiej napisać pewien slogan. Trzymałam w ręku białą kredę. Był późny wieczór. Stałam na czatach razem z innym kolegą, a Rudy zaczął powoli i starannie pisać: "Tylko świny siedzą w kinie". Tylko zdążył napisać pierwszą literkę, a ja już zauważyłam jakiegoś przechodnia. Ostrzegłam Janka, ale on nie przyspieszając, dalej starannie i wolno kontynuował. Zabrał się za pisanie drugiego wyrazu, kiedy usłyszałam, że kolega gwizdże. Serce zaczęło mi mocniej bić i poczułam jak robi mi się gorąco. Byłam już gotowa do ucieczki lub zrobienia czegokolwiek. Rudy, jednak nie śpiesząc się, starannie pisał kolejne litery.

W tamtej chwili podziwiałam go za jego cierpliwość i niesamowitą precyzję. Gdy skończył pisać cały slogan, gotowa, żeby już iść, schowałam kredę do kieszeni, ale Janek zaskoczył mnie i zaczął jeszcze coś rysować. Tym czymś okazały się dwie świny siedzące na krzesłach. Pamiętam, że uśmiechnęłam się widząc jego malunek. Zawsze musiał dodać coś od siebie. Schował białą kredę do kieszeni i uśmiechając się do mnie, ruszył spokojnym krokiem w najbliższą przecznicę. To zadanie było jednym, które wspominam najlepiej.

Niespokojnie zaczęłam ruszać nogami. Nie mogłam już usiedzieć w jednym miejscu. Słyszałam tylko odgłosy tłuczonego szkła, strzelaniny i krzyki ludzi.

– Marcyśka. Spokojnie. - Spojrzałam na swoją koleżankę, która wypowiedziała mój pseudonim. Pamiętam dzień, w którym wstąpiłam do szarych szeregów. Kazano mi wymyśleć dla siebie jakieś przydomko dla własnego bezpieczeństwa. Pierwsze polecenie, a już miałam problem z wykonaniem go. Stałam tam patrząc na wszystko dookoła. Moją uwagę przykuła szara torba z czerwonym krzyżem. Wpatrywałam się w nią, starając się wymyśleć odpowiedni pseudonim. Miałam z tym okropny kłopot. Nieważne jak bardzo się starałam nic mi nie przyszło do głowy. Wtedy pomoc, o którą nawet nie prosiłam, przyszła tak niespodziewanie.

– Jak się nazywasz? - Zapytał Rudy i spojrzał na kartkę z imionami.

– Będę nazywać Cię Marcyśka. - Pamiętam, że właśnie wtedy po raz pierwszy ujrzałam jego uśmiech. Odwzajemniłam go i dopiero po chwili ołśniło mnie. Marcyśka.

– Marcyśka. - Powiedziałam głośno, wpisując koło swojego imienia swój pseudonim. To właśnie Jankowi zawdzięczam moje przydomko.

– Jak długo jeszcze? - Wstałam cała zniecierpliwiona. Chodziłam w tą i z powrotem i pod wpływem emocji zaczęłam obgryzać paznokcie. Gdy się odwróciłam drzwi ciężarówki otworzyły się, a ja ujrzałam Zośkę i resztę przyjaciół niosących na noszach Rudego. Praktycznie go nie poznałam przez ilość ran na jego ciele. Serce zaczęło mi pękać, a łzy napływać do oczu. Siniaki, zaschnięta krew, przypalone miejsca na jego ciele... Podbiegłam do niego i kucnęłam. Wtedy zauważyłam ten sam uśmiech, co podczas naszego pierwszego spotkania. Uśmiechnęłam się przez łzy, które już teraz swobodnie spływały po mojej twarzy. Zaskakujące, jak nawet podczas takiej sytuacji on był w stanie się uśmiechnąć. Złapałam go za rękę, a jego krew spłynęła po mojej białej koszuli. Drugą dłonią sięgnęłam do swojej torby, by jakkolwiek mu pomóc, ale miał tyle ran, że nie mogłam dużo zdziałać. Wyjęłam białą chustę i lekko zaczęłam wycierać krew z jego ciała.

- M-Marcyśka... N-Nie p-płacz. - Powiedział zaciskając zęby. Rozplakałam się jeszcze bardziej.
- Nie płaczę. - Oznajmiłam nie patrząc na niego, tylko wciąż go opatrując.
- P-Próbujesz m-mnie o-okłamać? - Widziałam jak się uśmiecha.
- Nie. - Zaśmiałam się, a łzy spłynęły mi po policzkach. Spojrzałam na Zośkę, który tak samo jak ja płakał. Popatrzył na mnie i zmusił się do uśmiechu.
- T-To n-nawet n-nie b-boli. - Gdy to powiedział wstałam i przytulając się do Tadka ukryłam swoją mokrą twarz. Poczułam mocny uścisk. On też tego potrzebował. Zazdrościłam Zośce jego przyjaźni z Jankiem. Byli sobie tacy bliscy, a teraz musiał patrzeć na swojego przyjaciela całego skatowanego.
- Usłyszałam strzał. Lekko przerażona wyrzalam przez materiał, którym był okryty samochód. Strzelanina. Tylko tego brakowało. W oddali zobaczyłam Alka. Leżał na podłodze. Nie myśląc dłużej wzięłam szarą torbę i szybkim krokiem podeszłam do drzwi.
- Marcysia! - Usłyszałam za sobą krzyk Zośki, ale zignorowałam to i wyszłam. Zaczęłam biec w stronę chłopaka.
- Padnij! - Jak na komendę schowałam się za więźniarką, a pocisk uderzył w maskę samochodu. Ciężko oddychając i próbując się uspokoić, oparłam się o drzwi. Ruszyłam przed siebie i dotarłam do rannego. Alek trzymał się za brzuch, a jego ubranie było już przesiąknięte krwią. Lekko odsłoniłam jego brzuch i zaczęłam go opatrywać. Biały bandaż od razu stał się czerwony, więc za nim go obandażowałam wyjęłam następną.
- Wszystko wokół ucichło. Rozejrzałam się wokół, a jedyne co zauważyłam to nasz wóz, inne płonące samochody i martwe ciała. Przełożyłam swoją torbę przez ramię. Pomogłam Alkowi wstać, słyszałam jak jęczy z bólu. Przewiesił mi rękę przez szyję i próbując pomóc mi iść skierowałam się do ciężarówki. Rannych zawieźliśmy do lekarza.
- Minęły cztery dni. Czwarty dzień był tym najgorszym. Płakałam. Płakałam tak bardzo. Klęczałam nad martwym ciałem Rudego. Wciąż trzymałam go za rękę, która była zimna jak lód. Jedyne co czułam to dłonie Zośki, które mnie obejmowały. W jednej chwili, poczułam jak świat się zatrzymuje. Spojrzałam na jego twarz i byłam pewna, że na jego ustach widziałam delikatny uśmiech. Przez chwilę też się uśmiechnęłam. Czułam się jak dziecko, patrząc tak na ciało Janka i płacząc. Puściłam jego dłoń, gdy ktoś podniósł jego zwłoki. Dalej siedziałam na podłodze, nie mając siły wstać.
- Alek...Nie żyje. - Drugi raz w tym dniu zawałił mi się świat. Straciłam dwóch przyjaciół. Najlepszych jakich kiedykolwiek mogłam mieć. Nie zapomnę tego, kiedy Alek pokazał nam jak bardzo odważny jest. 11 listopada zdjął niemiecką tablicę, która zastaniała polski napis "Mikołajowi Kopernikowi - Rodacy". Opowiadał nam jak duży hałas się zrobił, gdy wspomniana rzecz spadła na ziemię. Pomimo to nikt nie zwrócił na to uwagi, a on bez stresu mógł zakopać gdzieś w śniegu tablicę. Alek był jedną z odważniejszych osób jakie poznałam i zawsze to w nim podziwiałam. 30 marca 1943 rok, to właśnie ten dzień zapamiętałam jako jeden z najgorszych dni w moim życiu. Strata dwóch, bliskich dla Ciebie osób jest czymś naprawdę bolesnym. Rudy i Alek będą na zawsze zapamiętani w moim sercu.


**IGA WOJTASIK (11 lat)**

Szkoła Podstawowa z OI nr 342 w Warszawie  
 opiekun merytoryczny: Magdalena Łatkowska  
 tytuł: "Przeprowadzka!"

Kojarzycie ten moment, gdy musicie pożegnać się ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi z ważnego powodu? Porzucić wszystko to co było wam bliskie przez ostatnie 12 lat życia? Mnie spotkało to w najmniej oczekiwanym momencie. Pewnego dnia rodzice zwołali naradę rodzinną i oznajmili mi i mojemu rodzeństwu, że przeprowadzamy się do Warszawy. Mój tata otrzymał posesję gospodarza domu w Warszawie i przydział lokalu w centrum stolicy. Decyzja ważna od zaraz, co oznaczało natychmiastową przeprowadzkę. Mieliśmy zaledwie tydzień, by spakować nasz cały dobytek, pożegnać najbliższych i stawić się w Warszawie dokładnie 12.XII. 1981 roku. Ta data na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Rodzice, widząc nasz smutek i lęk przed nieznanym, starali się osłodzić grobową atmosferę jaka towarzyszyła nam podczas pakowania, opowiadając o licznych atrakcjach, jakie czekają na nas w wielkim mieście. Kina, teatry, lodziarnie na każdym rogu ulicy i sklepy pełne wspaniałości - to wszystko czekało na nas tuż po przyjeździe. Ta myśl sprawiała, że spojrzeliśmy nieco inaczej na to co miało nas spotkać.

Dzień przeprowadzki przyszedł szybciej niż się spodziewaliśmy. Od rana w domu panowała nerwowa atmosfera. Babcia płakała, mama niecierpliwie krzątała się sprawdzając czy wszystko zabraliśmy. Tylko tata zdawał się być bardziej zamyślony i ponury. Miałam wrażenie, że trapiło go coś więcej niż tylko przeprowadzka...

Gdy samochód dostawczy odjechał już z naszymi rzeczami, uściskaliśmy dziadków i prędko wsiedliśmy do naszego czerwonego fiata 126p. Droga nie była zbyt komfortowa i czułam się jak sardynka w puszcze. Pięć osób w grubych zimowych płaszcach i kilka drobniaków, które nie zmieściły się w ciężarówce, oznaczało drogę przez mękę. Gdyby nie mama i jej poczucie humoru, można by ciąć powietrze nożem. Tata wciąż był markotny i milczący. Co go tak martwiło?

Dojechaliśmy na miejsce późnym wieczorem, ponieważ droga była bardzo ośnieżona i śliska. Kiedy wybudziłam się z drzemki, moim oczom ukazały się niezwykle widoki. Kamienica przy Wilczej, w której mieliśmy zamieszkać, była zjawiskowa. Nasze mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze i prowadziły do niego wysokie i kręte schody, a korytarz był niezwykle tajemniczy. Na myśl o tym, jakie sekrety skrywało to miejsce, przeszył mnie dreszcz emocji. Mieszkanie było olbrzymie, więc każdy z nas dostał swój własny pokój. Zaczynaliśmy nowy rozdział naszego życia i perspektywy zdawały się być bardzo obiecujące. Następnego dnia była niedziela i czekać nas miała cała masa niespodzianek. Przede wszystkim jednak, nie mogłam się doczekać, by poznać wszystkich lokatorów i nawiązać nowe znajomości. Zасыpiając, snułam marzenia o tym co przyniesie kolejny dzień.

Obudziłam się wcześniej rano niezmiernie podekscytowana. Moją pierwszą myślą była chęć rozmowy z babcią i opowiedzenia jej o naszym nowym domu. Pobiegłam do telefonu, wykręciłam numer na tarczy aparatu i ... nic. W słuchawce nie było sygnału.

– Dziwne! - powiedziałam do siebie na głos.

– Nie działa - tata, podszedł do mnie z tyłu i poklepał po ramieniu - Nie martw się, choć usiądziemy i napijemy się herbaty. Opowiem Ci co się stało.

Tata zdawał się być bardziej przygnębiony niż poprzedniego dnia, choć próbował kryć swój niepokój. Kiedy weszliśmy do kuchni, zastaliśmy tam mamę i moje rodzeństwo. Ich miny wskazywały na to, że działo się coś niepokojącego. Panowała głucha cisza, nie grało radio ani telewizor, a mama cichutko pochlipywała.

– Jolu, niestety dzisiaj musimy zostać w domu. Ulica nie jest w tej chwili bezpieczna. Ale to nic, najważniejsze, że jesteśmy razem - powiedziała mama za smutkiem.

– Co się stało? Nie rozumiem - odpowiedziałam ze zdziwieniem - Przecież mieliśmy tyle planów. Obiecaliście nam kino i lody! - zanosłam się płaczem.

– Usiądź i posłuchaj - tata włączył radio i dało się słyszeć przedziwny komunikat. Jakiś mężczyzna oznajmiał oschle, że od północy obowiązuje w Polsce stan wojenny.

– O kinie możemy na razie zapomnieć, nie sądzę również by w mieście były dziś otwarte jakieś sklepy.

– Co to wszystko ma znaczyć? O co w tym wszystkim chodzi? Czy to coś złego? - dopytywałam, zupełnie nie rozumiejąc tego co właśnie usłyszałam.

W tym momencie nasz zegar wybił godzinę dziewiątą.

– Czas na Teleranek - krzyknęłam podbiegając do telewizora. Włączyłam monitor i ku mojemu zdziwieniu zamiast kolorowego koguta, ujrzałam dziwnego mężczyznę w wojskowym mundurze i ekscentrycznie wielkich okularach na nosie. Mężczyzna głosem pełnym powagi oznajmiał, że z jakiś zupełnie niezrozumiałych dla mnie powodów rząd zdecydował się wprowadzić w Polsce stan wyjątkowy.

Oczy ponownie załazy mi się łzami, mama podeszła do mnie i mocno mnie przytuliła.

– Wkrótce sytuacja się uspokoi i będziemy mieli okazję zwiedzić Warszawę. A jutro pójdziemy na zakupy, więc rozejrzemy się po okolicy - powiedziała spokojnie.

– Myślałam, że w poniedziałek pójdziemy do szkoły? - spytałam zdziwiona.

– Bardzo mi przykro, ale póki co zostaniecie w domu. Może po świętach... - odparł tato.

– A teraz ubierzcie się szybko, zejdziemy na podwórko, mam dla was niespodziankę - dodał z uśmiechem.

W pośpiechu założyliśmy się śniegowce, ciepłe kurtki, czapki i wybiegliśmy za tatą. Przy wejściu do klatki czekał na nas elegancko ubrany mężczyzna. Pod pachami trzymał dwie klatki, a w każdej z nich znajdowały się małe, puchate i piszczące kulki. Ania, Janek i ja ze zdziwienia szeroko otworzyliśmy oczy.

– Te pieski są dla Was - powiedział tatuś - mam nadzieję, że dzięki nim poczujecie się jak w domu.

Kiedy emocje już opadły, wraz z rodzeństwem zabraliśmy szczeniaczki do górę. Kluska i Pączek, bo tak nazwaliśmy nasze pieski, pomogły nam na chwilę zapomnieć o porannych wydarzeniach. Wspólnym zabawom nie było końca, a gdy nadszedł wieczór, całą rodziną udaliśmy się na spacer. W pewnym momencie Pączek wyrwał się do przodu szczekając bez opamiętania. Skręcił za rogiem ulicy i znikł nam z oczu. Jak na sygnał, wszyscy zerwaliśmy się do biegu i już za chwilę znaleźliśmy się na ulicy Marszałkowskiej. To co zobaczyliśmy odjęło nam mowę. Na jezdni stało kilka czołgów, po ulicy biegali żołnierze i milicjanci, zaganiając przechodniów do domów. Dało się słyszeć nerwowe pokrzykiwania, a zastraszeni ludzie jak owce posłusznie wykonywali polecenia władzy. Zbliżała się godzina dziesiąta, na dworze panował siarczysty mróz, a my niestety nigdzie nie widzieliśmy Pączka.

– Natychmiast wracajcie do domu, ja go poszukam. Nie bójcie się, wszystko będzie w porządku - powiedział tata.

Byłam przerażona. Nie mogliśmy zostawić Taty samego.

– A jeśli coś mu się stanie? Co jeśli go aresztują? - pomyślałam i miałam wrażenie, że Ania i Janek pomyśleli o tym samym. Jednak mama stanowczo kazała nam wykonać polecenie ojca i wróciliśmy do domu.

Czas dłużył się niemiłosiernie, a tata nie wracał. Mijały długie minuty, kwadranse, godziny, a my czekaliśmy. Pomimo zmęczenia żadne z nas nie położyło się spać tej nocy. Mama starała się nas podnieść na duchu, ale ja widziałam w jej oczach trwogę. Mocno przytuliłam Kluskę, zamknęłam oczy i pomyślałam o dziadkach, o naszym domu i gospodarstwie. Bardzo żałowałam, że przyjechaliśmy do tego okropnego miasta. Na wsi



z pewnością było inaczej, bezpieczniej i bardziej swojsko. Łzy napływały mi do oczu, ale postanowiłam być twarda i nie dać niczego po sobie poznać.

Musiłam chyba zasnąć na chwilę w fotelu, bo nad ranem obudziła mnie Kluska liżąc po twarzy ciepłutkim języczkiem. Gdy się ocknęłam, przypominałam sobie gdzie jestem, co stało się kilka godzin wcześniej i zerwałam się na równe nogi. Taty wciąż nie było, a mama stała przy oknie wyglądając jego powrotu.

– Czy są jakieś wieści? – spytałam z nadzieją, ale mama tylko pokręciła głową. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Mama podbiegła do wejścia, spojrzała przez wizjer i głośno krzyknęła.

Kiedy otworzyła drzwi, stał w nich tata trzymając Pączka. Wyglądał na bardzo zmęczonego i strapionego. Usiadł przy stole i opowiedział nam, o tym jak go aresztowano, trzymano w celi i przesłuchiowano, ponieważ był poza domem podczas godziny policyjnej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jeden z milicjantów znalazł Pączka i w końcu uwiezono tacie w jego wersję wydarzeń.

– W drodze do domu chciałem wstąpić do sklepu, by kupić coś dla nas i dla psów. Nie uwierzcie! Sklepy są zupełnie puste, a kolejki po żywność ciągną się w nieskończoność. Obawiam się, że dziś na śniadanie musimy zjeść jajecznicę bez chleba i masła. Gdy tylko odpocznę, postaram się o jakieś pieczywo. A później zwołuję rodzinne zebranie. Musimy wspólnie zdecydować co dalej – powiedział tata, po czym udał się na spoczynek.

Po południu zebraliśmy się w kuchni, mama naląła nam po szklance mleka za szklanej butelki, którą rano mleczarz zastawił pod naszymi drzwiami, a na stole postawiła jeszcze ciepłe ciasto drożdżowe. Cała nasza trójka wiedziała, że coś się święci i że za chwilę padną ważne decyzje.

– Razem z mamą postanowiliśmy, że w związku z zaistniałą sytuacją najlepiej będzie jeśli wrócimy na wieś. Babcia i dziadek jeszcze o niczym nie wiedzą, bo telefony nadal milczą. Z pewnością jednak bardzo ucieszą się z powrotu – rzekł tata.

– A co z Twoją pracą? – zapytał Janek

– Jutro, gdy tylko posprzątam klatkę i podwórko udam się do urzędu i postaram się wszystko odkręcić. Musi przecież być jakieś wyjście awaryjne. Na wsi będzie spokojniej i zdecydowanie łatwiej o żywność – odpowiedział tata.

Trudno się było z tym nie zgodzić, chociaż taka decyzja bardzo nas zaskoczyła. Przyznać jednak muszę, że ja poczułam ogromną ulgę. Wprawdzie szkoda mi było tego, że nie zwiedziłam Warszawy, nie byłam po raz pierwszy w kinie i nie skosztowałam lodów na Starówce. Ale na to miałam przecież całe życie, a stan wojenny nie będzie trwał wiecznie! Postanowiłam, że kiedy tylko ten koszmar się skończy, wraz z całą rodziną odwiedzimy warszawskie ZOO i zjemy tam pyszną wata cukrową, o której czytałam kiedyś w elemencie!

## Komentarze jednego z jurorów oceniającego wszystkie opowiadania

Wszystkie opowiadania napisane w ramach projektu „doSŁOWNIE o WARSZAWIE” reprezentują wysoki poziom merytoryczny. Każdy z młodych twórców wykazał się znajomością historii Warszawy i Polski oraz w sposób bardzo ciekawy ją opowiedział. Świadczy to o wysokim poziomie ich wiedzy i umiejętności, dojrzałości intelektualnej i ogromnej pasji poznawczej. Zarówno autorom prac i opiekunom merytorycznym należą się szczególne wyrazy uznania. Tym bardziej, że umiejętność pisania i opowiadania nie jest sztuką powszechną.



**o. Jarosław Pabian SP**

polonista, dyrektor Zespołu Szkół Zakonu Pijarów w Poznaniu

## doSŁOWNIE o WARSZAWIE

Redakcja i skład | Renata Wardecka  
Koordynacja Projektu | Monika Karda  
Warszawa | Fundacja BO WARTO | czerwiec 2021

Wszystkie teksty (recenzje i opowiadania) uczestników projektu zawarte w niniejszej publikacji zostały zamieszczone w wersjach oryginalnych otrzymanych od ich autorów.

Serdecznie dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do powstania i realizacji Projektu „doSŁOWNIE o WARSZAWIE” przygotowanego przez Fundację BO WARTO. Jesteśmy szczerze wdzięczni za aktywny udział i olbrzymie zaangażowanie, a nadto za wspaniałą atmosferę obecną na każdym etapie projektowych działań. Ufamy, że refleksje i doświadczenia tej programowej inicjatywy, będą dla nas organizacyjną motywacją do kolejnych edycji i wspaniałych spotkań i literackich przygód z fantastyczną młodzieżą.

Zespół Fundacji BO WARTO